

NAUKA CHRYSZTUSOWA

38 — 40

STANISŁAW KASZNICA

ROZWAŻANIA

ROK VI z. 3—5

ITALIA

1945

„NAUKA CHRYSZTUSOWA”

jest miesięcznikiem poświęconym zagadnieniom życia religijnego. Każdy zeszyt omawia jedno zagadnienie i stanowi zamkniętą całość. Dotąd ukazały się następujące zeszyty:

1. O CIERPIENIU.
2. O MIŁOŚCI.
3. O CIERPIENIU II.
4. Dr. K. Fred: ROZPRAWA O CHARAKTERZE.
5. KOŚCIÓŁ A POLSKA.
6. Ks. Biskup Gawlina: DWA STUDIA O RELIGII ANGLIKÓW.
7. Tomasz a Kempis: O NAŚLADOWANIU CHRYSZTUSA Ks. II.
8. KOŚCIÓŁ SZKOCKI.
9. O NAJSWIĘTSZEJ MARYJI PANNIE.
10. Ks. Tomasz Samulski: ŚW. ANDRZEJ BOBOLA.
11. Dom Justin McCann: DYSCYPLINA WEWNĘTRZNA. tłum. ppor. lot. S. Z.
12. Św. Tomasz z Akwinu: ODWET ((II-IIae q. 108), przełożył, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył o.I.M. Bocheński O. P.
13. Henryk Sienkiewicz: PÓJDŹMY ZA NIM.
14. KATECHIZM wydany z polecenia J. E. Ks. Biskupa Polowego W.P.
15. Ks. Dr. Kazimierz Gołębiewski CSSR: SPIRYTYZM.
16. X. Piotr Skarga: PROROCSTWO (Wzywanie do pokuty Obywatelów Korony Polskiej).
17. Ks. Marian Morawski T. J.: KATOLICYZM (VI. Wieczór nad Lemanem).
18. Kornel Ujejski: SKARGI JEREMIEGO.
19. o. I. M. Bocheński, O.P.: O PATRIOTYZMIE.
20. Hetman Stanisław Żółkiewski: TESTAMENT.
21. Ks. Marian Morawski T. J.: PAPIESTWO A KOŚCIÓŁ NARODOWY (z „Wieczorów nad Lemanem”).

c. d. na str. 3 okładki

NAUKA CHRYSZTUSOWA

38 — 40

STANISŁAW KASZNICA

ROZWAŻANIA

SN

ze zbiorów

STANLEYA NAJA

ROK VI z. 3—5

ITALIA

1945

Przedruk z 2 wydania (1936)
(Księgarnia św. Wojciecha)

W2
wódmis os

STANISŁAWA

JEST...!

Podniesienie

Powstały z jeziora białe tłumy, powoli rozpełzły się po mieście, a spotkawszy wzgórze, z trzech stron je okalające, — stanęły. Szły potem nowe i jeszcze nowe, kłębiąc się i przewalając, z wysiłkiem torując sobie drogę. Z godziny na godzinę mgła gęstniała, aż w mroźnym, nieruchomym powietrzu zakrzępta.

Dymy, nie mogąc się przez nią przedrzeć, rozsnuły się w niej i rozpostarły nad miastem czarną krepą. Mroczno się stało. Czasem tylko, na krótką chwilę, w szczelinie mgły, bielsza ukazywała się plama, — widmo słońca. — Głosy więdły w mgłę, zlewając się w jeden stłumiony huk. — Pierś z trudem chwytała powietrze.

Czułem, jak ta mgła straszna powoli i we mnie przenika, ogarnia mnie całego. Zdawała się polipem, który nieustannie wpatruje się we mnie przez okna szaremi ślepiami, ... śliskie, obmierzłe macki zapuszcza w głąb po-koju, oplątuje niemi serce, ścisła je mocno... coraz mocniej.

Broniłem się czas jakiś, ale wkońcu uległem.

Smutek, zniechęcenie zalały duszę. Wszystkie plany zwiędły, wszystkie postanowienia czcze się zdały, niewiążące. Z przeszłości wyłoniły się żale zapomniane, rachunki przedawnione, słabości przewyciężone.

A i wkoło siebie widziałem tylko oczy smutne, zgaszone. I tak trwało dni długie.

Aż nagle rozległ się koło mnie dźwięk dziwny: Uetli-hell !! *)

Nie rozumiałem go. Ale gdy mi wytłumaczano sens jego cudowny, radość we mnie wybuchła. Porwałem się z domu, wybiegłem na ulicę, — tam już na murach plakaty jaskrawo-czerwone z tem jednym magicznem słowem. Dopadam tramwaju, — i tam ludzie to słowo radośnie wykrzykują.

A dojechawszy na kraniec miasta, do podnóża góry, wraz z innymi pięć się na nią zaczynam wąską ścieżyną.

Zrazu nic: wciąż ta sama brudno-szara, mroźna, stężała mgła. Posępnie, smutno. I dziwnie z tym smutkiem kłóca się wesołe, zadyszane głosy ludzi pnących się tam, gdzieś wgórze, nade mną. Spieszę coraz szybciej...

Idę... idę... I nagle zaczyna się coś zmieniać koło mnie: mgła bledsza się staje, już nie jest taka zwarta... pęka... rwie się... Podnoszę oczy: wysoko już tylko strzępy jej, białoprzezrocze pasma czepiają się drzew, a spośród nich wзира... lazur, ...a jeszcze wyżej rumienią się kora na sosnach, ...już się czerwieni... pali... Boże mój! To słońce!

A tam krzyki, śpiewy. Biec zaczynam. Tchu brak, a ja biegnę, skrzydła czuję w ramion... Już obok mnie smugi białe, niby babie lato, czepiają się krzaków jałowca. Już palą się sosny tuż, tuż nade mną... Posiew jedrny, rzeźwiący. Ostatku sił dobywam, ostatnie drzewa mijam... I wypadam na polanę śnieżną słońcem zalaną, w przestwór przejśny, w morze światła...

Stałem. Serce, zda się, pierś rozsadzi. Usta choiwie piją powietrze przeczyste...

Patrzałem... patrzałem w niemym zachwycie, w upojeniu. Czcilem, wielbiłem, miłowałem. Dziękowałem, korzy-

łem się. Paść chciałem na kolana, czołem bić, całować te jasności, te cuda, ...Twoje dary... Boże Ojczy! Boże Mocny, Święty a Nieśmiertelny... Święty... Święty... Święty... :

Wyżej jeszcze trzeba iść, by objąć ze szczytu cały widnokrąg.

Wkoło łańcuch gór. U stóp naszych morze wzburzone, którego brzegiem te góry. Lecz dziwne to morze: jego bałwany nieruchome. Nad głową lazur i słońce. W promieniach jego iskrzą się śniegi na górach, lśni się morze. Z jego głębi dobywają się jakieś szmery niewyraźne, niezrozumiałe. Zresztą cisza zupełna.

I to wszystko. A można się w to wpatrywać godzinami i nie nasycić się. W skupieniu, szeptem tylko zamieniając spostrzeżenia, braliśmy w duszę ten cud Boży, by twymyć go tam na zawsze, nic z niego nie uronić.

Jakże krótki dzień zimowy! Chyli się już słońce. Płonąca zaczynają góry, krwią spływa powierzchnia morza... Wiatr zachwiał... I nagle ruch się wszczyną wkoło nas: wzdyma się morze, kołobie, jakby oddychało, z grzbietów bałwanów odrywają się smugi piany. Co to?... Góra nasza chwieje się... czarne wierzchoły jodeł, które dopiero co widać było tam wdole, już znikły... I te za chwilę toną...

Słońce zaszło. Zgasła czerwień. Wszędzie szarość. Tylko tam daleko pali się jeszcze szczyt najwyższy... Lecz i ten blednie, gaśnie. Posępnie, groźnie.

Góra nasza tonie: mgła tuż pod nogami.

A wtem z głębin morza popłynęły ku nam, głuche dźwięki: dzwony kościelne w mieście zatopionem.

*) Uetli — góra w Szwajcarji: „szczyt w słońcu”!

W noc zstępując, w mgłę się zanurzając — mimo smutku, że to się już skończyło, — byliśmy spokojni, mocni.

Bo to, z czym wracaliśmy, wystarczy, — czuliśmy, — by mężnie czoło stawiać jutru szaremu.

W chwili udręki dość będzie wzniesć oczy, ...wspomnieć cud dzisiejszy, ...wspomnieć, że Ona tam jest, wiecznie gorzące, że Ono i do nas przyjdzie... oświeci... ogrzeje...

O wszystko

Lat temu niemal trzydzieści: tak, jak dzisiaj, mówiliśmy o wierze, o Bogu. Tylko wtedy było lato, a dzisiaj noc styczińska. Tylko wtedy ja byłem prawie jeszcze dzieckiem, a on — młodzieńcem.

Czy ja naprawdę wtedy jeszcze wierzyłem? Nie wiem. Ale pamiętam zaciekle, z jaką broniłem wiary, swoje jej wiary, przed jego atakami. Och, bo on całą swoją erudycję dwadziestoparoletniego studenta, całą swoją w pełni rozkwitającą inteligencję wysilał nato, aby wyważyć z duszy kilkunastoletniego chłopaka wiarę w Boga, w nieśmiertelność ducha, żywot wieczny — w młodzieńczym smem zaślepieniu nie zdając sobie nawet sprawy z krzywdy, jaką mi wyrządził. Do późna w noc, a czasem do świtu trwały nasze zadanie dysputy. Nie poddawałem się, walczyłem mężnie. I nieraz pamiętam to dobrze miałem uczucie głębokiej radości, że mogłem mu sprostać. Lecz częściej on mógł triumfować... z łatwego zwycięstwa, odniesionego nad dzieckiem i tak już strwożonym, w głębi swej duszy zachwianem. Widzę to za-dowolenie na jego twarzy, gdy ukończywszy jakieś dowodzenie, odczuł, że trafił dobrze, że jeszcze jeden kamień z moich słabiutkich fundamentów osunął się i potoczył. Cieszył się, widząc mnie już bliskim mawrócenia na swą niewiarę.

I cieszył się bliskim mawrócenia na swą niewiarę. I parę lat, czy w parę miesięcy po tych rozmowach, przestałem się modlić.

Nie winię go za to. I nie mam do niego żalu. Czy i tak nie doszłoby do tego? A czyż on — młody i szczęśliwy — rozumiał, co czynił?

Dzisiaj... on już w starość niemal wchodzi, ja przekraczam wiek męski.

Od czego się nasza rozmowa dzisiejsza rozpoczęła? Powiedział mi: „Ty szczęśliwy jesteś... bo masz wiarę!”

Czy mam ją naprawdę?... Całą siłą duszy pragnę jej... w trudzie i znoju dążyć do niej...

I zacząłem mu opowiadać, co dotychczas zdobyłem... jak niewiele... jak niezmiernie mało.

A on już nie atakował mnie. Ale z natężeniem słuchał, łapczywie połykał moje słowa. Ach, jakby pragnął posiadać choć tyle, co ja, bodaj tę zdolność pragnienia i dążenia. Wyraźnie to czytałem z jego oczu, postawy, wykrzykników.

Z utęsknieniem wyczekiwał na to jedno jakieś decydujące słowo, przed którym umysł jego mógłby skapitulować. Całe jego jestestwo przysięło się pożądanemu, aby być przekonany.

Ta sama rozmowa, co ongiś. Lecz jakże inny, tragicznie odmienny ton jej i nastrój. To już nie temat rozmowy. Teraz chodzi o wszystko, absolutnie o wszystko.

Jakże pragnę dać Ci tę Wiarę... biedny, kochany człowieku... choć tyle, ile sam posiadam.

Boże, Panie mój!... daj mi ją!

Nietylko dlatego, że bez niej żyć mi niepodobna. Ale i dlatego, abym mógł poratować tylu nieszczęśliwych, tak strasznie, beznadziejnie nieszczęśliwych.

Służba Boża

Ulegając wreszcie moim prośbom, wyznała mi treść swej spowiedzi:

Liczy się przecież z możliwością śmierci, jako z ostatecznym rozwiązaniem tej strasznej, niepojętej choroby. A kiedy uświadamia sobie tę chwilę rozstania z nami..., żal ją niezmierny ogarnia..., i lęka się, czy nie opuści jej męstwo w tym ostatnim momencie. A wie przytem, jak słabą i trwożną, rodzącą się dopiero jest moja wiara. I wie, w jakiej mierze przyczyniło się do zawązania i wzrostu w mej duszy wiary — moje przekonanie, że jej wiara jest niezachwiana, absolutna, a więc taka, która zniesie próbę śmierci... I oto nagle zobaczę ją w ową chwilę rozpaczającą, złamaną: ...i mogę sobie wyobrazić, że ta rozpacz płynie nie tylko z żalu spowodu rozstania, ale ze zwątpienia we wszystko... i w Boga.

I to jest treścią istotną najboleśniejszego niepokoiu, wyznanego spowiednikowi: czy nie zniszczy we mnie zawązku wiary przez to, że zawieść mogą siły w tę wielką godzinę...?

Jakież to osłepiające objawienie, ile warta ta dusza? Jak każda chwilę swego życia dawała nam, nie licząc, w ofierze, tak i teraz, gdy umiera, ponad wszystkim góruje w niej pragnienie i wola, aby i konanie jej było służbą Bożą.

Powiedział jej spowiednik: Na podstawie znajomości twej duszy, jak wyniosłem ze spowiedzi twoich, mogę utwierdzić cię w ufności, że sił ci starczy do końca... Módl się tylko o to ciągle!

Pół roku jeszcze cierpiała, milczała i tem milczącym cierpieniem modliła się.

I Bóg wysłuchał jej modlitwy...

Niezmiennność

Na ten sam temat, z jakiegobądź dziedziny, książki, wykłady, rozprawy różnych ludzi: w każdej, w każdym z nich — inne poglądy, inna wykładnia, inny punkt wyjścia i różne wyniki. A nawet w poglądach tego samego człowieka o tym samym przedmiocie, — ile rozbieżności w różnych okresach jego życia.

Jeden tylko wyjątek.

Przed kilku dniami w czasie rekolekcyj kaznodzieja-zakonnik objaśniał nam jedną z prawd wiary. Dzisiaj w kościele parafialnym proboszcz wziął ją za przedmiot kazania niedzielnego.

Tamten człowiek wielkiej kultury, głębokiej wiedzy, świetny mówca. Ten — szarak przeciętny i prostak. Nie widzieli się nigdy na oczy, z innych zupełnie środowisk wyszli, gdzieindziej się kształcili..., a jednak nauka ich w treści na wlos się nie różniła. Odmiany tylko w stylu, pogłębieniu myśli, w sposobie traktowania przedmiotu.

I wiem, że to samo będzie, jakakolwiek Prawdę jeżeliby wykladać.

I wiem, że przejechawszy na drugą ziemi półkulę, w głąb najnieodstępniejszej krainy, — gdziekolwiek spotkam kającego kapłana Kościoła Powszechnego, — nie inną usłyszę naukę, choć głosić ją będą ludzie obcy sobie nawzajem językiem, obyczajem, rasą, tradycją... wszystkim... prócz Wiary.

I wiem, że taksamo było przed wiekami i taksamo będzie po wiekach.

Część najkorniejsza, spokój przedziwny ogarnia i przenika duszę na widok tej pewności i niezmienności wśród powszechnej chwiejności i zmienności. Z tajni najgłębszej ducha dobywa się świadomość: Bożem, nie ludzkim, usta-

nowieniem te prawdy, ta Prawda, tak zdumiewająco zgodnie i niezmiennie, bez wahań i wątpliwości, stale i stanowczo, poprzez wieki głoszona przez tych samych ludzi, którzy wszędzie indziej, na wszystkich innych polach, tak tragicznie skłóceni są ze sobą, — o wszystkim wątpią, idą za każdym kaprysem, posłuszni tylko głosowi interesu i namiętności, ... nie stalsi od mgieł i obłoków.

Credo

Wierzę:

Bóg, który wszystko, co jest, stworzył, jest Ojcem naszym. Więc kocha nas, dzieci Swoje. Jest wszechmogącym: kochając, wszystko jest mocen dla nas uczynić.

Bezgranicznie ufny i bezpieczny czuje się pod najmiłosćciwszą a przemożną opieką Boga. U kolan Ojcowskich klęczę.

Miłując nas, zapragnął być z nami: Jezus, — to najwyższy przejaw miłości Bożej dla człowieka i Bożej wszechmocy.

Był między nami, On, — z Boga poczęty, z kobiety narodzony, — Bóg i człowiek razem. Przeżył z nami zwyczajną dolę ludzką: cierpiał i umarł.

Ale grób nie był kresem Jego życia ludzkiego: człowieczem ciałem wstał z grobu i z temże ciałem wstąpił do nieba. Tam u boku Ojca Swojego i Ojca naszego jest i zawsze będzie taki sam, jak my, — Człowiek. Więc tam nietylko Ojciec wszechmogący, ale i Brat nasz, krew z krwi, kość z kości naszej. Powróci, aby nas sądzić. Powróci ten sam Brat nasz, który przeżył dolę ludzką, — od kolebki przez Golgotę do anagidy, — który zna nędzę i słabość naszą. Ten sam, który znając ponętę pokusy i moc złego, kazał prosić codziennie Ojca, by nie wwoził nas na pokuszenie i zbawił ode złego.

Boga-Człowieka, więc nie straszne, miłosierne to będą sądy. Bać się ich nie potrzebujemy. Bylebyśmy wolę Jego czynili, ... bylebyśmy kochali.

A wszystko uczynił, aby nam dopomóc w dopełnieniu tego liedynego przykazania.

Duchem Swym zstępuje do każdej duszy, która woła Go o pomoc... w Kościół związał nas węzłem miłości powszechnej... wzbudził zastępy masładowców [Swych, abyśmy z obcowania z nimi, Świętymi, czerpać mogli wzory miłowania, moc wytrwania.

Spełnione będzie największe, nie, — jedyne istotne pożądanie człowieka. Spełnione będzie to, o co krzyczy w nas każdy fibr ciała, o co niewysłowioną tęsknotą woła dusza nieustannie, do czego rozpaczliwie rwie się całe jestestwo: ...nie umrzeć!

Jakiż był sens inny Zmartwychwstania i Wniebowstąpienia Jego?

On, Ojciec, który dał na mękę Syna jedyne, --- On, Brat, który Siebie wydał na śmierć z miłości dla nas, miałżeby dla Siebie jedynie, dla Swego Ciała zachować szczęście zmartwychwstania, a nasze człowieczeństwo, ciała nasze, synów i braci Swoich, miałżeby skazać na rozpad i śmierć wieczną...?

On, Stwórca nieba i ziemi... wszechmogący?

Zrównał się z nami człowieczeństwem narodziem, umęczonem, pogrzebionem. Mielibyśmy nie dorównać Jego człowieczeństwu zmartwychwstałemu, wniebowziętemu, uwielbionemu?

Zmartwychwstaniemy!

Ci sami, z tem samem ciałem, z tą samą duszą, zespoleni ze sobą bezgraniczną miłością, bo przebóstwioną całą nieskończonością Bożej miłości.

Na całą wieczność!

To skład suchych artykułów wiary?

Nie. To pieśń nad pieśniami.

Pieśń o Bogu Ojcu i o ludziach, dzieciach Jego.

Który tak je umiłował niezmiennie, że wszechmocą Swoją stał się, jak oni, człowiekiem, dał się umęczyć i umarł, aby przez śmierć Swoją i zmartwychwstanie wyzwolić ich ze śmierci i szczęściem wiecznym obdarzyć... za cenę jedynie miłowania.

Marzenie ducha ludzkiego o szczęściu, które nie kończy się nigdy.

Krzyk tęsknoty człowieka, który widzi w sobie i dopokoła siebie tylko walkę i śmierć, a łaknie miłości i życia.

Ideał bytu przez miłość powstałego i dla miłości wiecznie trwającego.

Wzlot człowieczeństwa ku Boskości, współistnieniu z Nią w miłości i nieśmiertelności.

Poryw serca, ponad który nie masz i nie może być nic wyższego, świętszego, nigdy, po koniec wieków.

Czy wierzę?

Wiem jedno:

Że ta wyszarzana modlitwa nabrała dla mnie nieznanego dotąd sensu i wagi... Z rudy chropowatej przeistoczyła się w brylant, który mnie oślepia nadmiarem blasków i barw. Martwemi usty, z nudą powtarzałem ją dawniej... słowa obce, narzucone, niezrozumiałe... Dzisiaj wytryskują z głębi własnego serca, jakby tam zrodzone.

A po jej odmówieniu wstaję z kolan pokrzepiony, silniejszy. I ufny, że za niewiele dni znów się zobaczymy, aby nigdy już się nie rozstać... bylebyśmy miłowali...

Cuda

Rozmowa z M.

Zagadnienie wiary jest dla niego zagadnieniem poznania:

„Kiedyś, może za paręset lat, w szkole uczęć będą dzieci tych rzeczy, które dzisiaj nam się wydają niepojęte, nadprzyrodzone — mówił. — W pierwszych wiekach chrześcijaństwa ludzie wiedzieli... Obrzędy religijne nasze miały wtedy absolutną skuteczność: gdyby znano wtedy chemję i dokonano po konsekracji analizy Chleba, to znalazłoby składniki ciała i krwi ludzkiej... Potem zgubiono sens obrzędów. Straciły swą skuteczność, stały się symbolami.

„Spirytyzm to sprawi, że odnajdziemy zgubioną prawdę i przywrócimy dawną moc obrzędom religijnym”.

Zapytałem go wtedy:

Czemże się to stało, że ludzie ztratili łączność ze światem nadprzyrodzonym, zgubili drogę do niego wiodącą? Jeśli trafnie na to pytanie odpowiemy, to wiadomem nam będzie, co czynić, by wejść na tę drogę i dostać się za te drzwi.

Odpowiedział: „Bo skostnieli...”

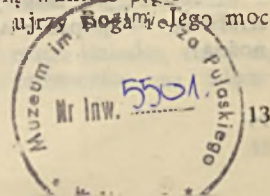
Ale dlaczego?

Plątał się.

Czy nie dlatego, — odpowiedziałem mu — że żyć przestali według przykazania Chrystusowego?

Czyż tego nie dowodzi fakt, że ci nieliczni, — z biegiem stuleci coraz mniej liczni, — którzy i później wszystko rzucili i poszli za Chrystusem, nawiązali łączność ze światem nadprzyrodzonym..., czynili cuda?

Warunkiem kanonizacji jest stwierdzenie cudów: kto naprawdę upodobił się Chrystusowi, ten wylamuje się z więzów przyrodzoności. Stąd i na przyszłość wniossek: zerwaną łączność z Bogiem nawiąże tylko życie na modłę Chrystusową. Kto sercem, myślą, wolą wznieść się zdoła na szczyt, który zwieemy Świętością, ten ujrzy Boga i Jego moc otrzyma.



Wiara nie spłyne na ciebie, jako ostateczny wynik badań i obrzędów, ale zdobywać ją sobie musisz, wysługiwać — mozolnym trudem, służbą wienną, a nawet krwawą męką.

Pierwsi chrześcijanie „wiedzieli”, bo byli święci.

Świętość

Słońce zaszło za wzgórza. Przedwieczorny mrok już zasnuwa dolinę.

Ale tam na wschodzie szczyt górski jeszcze w pełnym świetle.

Idę ku niemu, wpatrzony w srebrzystą ścianę...

Doczytuję Żywota Franciszka. Przed chwilą odenwałem się od tych kart cudownych.

I gdy przenikam w to życie i zapoznaję się z tem Dziełem, to jakby pogrążonemu w mroku odsłania się widok na taki właśnie ogromny szczyt, w słońcu gorejący.

Tęsknię za Nim niewypowiedzianie. W udręce szukam Go dookoła siebie i w sobie. Korzę się przed Nim niewidzialnym... w drgnieniach duszy, w porывach serca, w napięciu woli przeżywanym.

Wyciągam ramiona w niestabnącej nigdy nadziei, że znajdę Jego dłoń i uczepię się Jej i Ona powiedzie mnie.

Wypatruję oczy, szukając Jego oczu: czy ulegną memu błaganiu i miłościwie na mnie wejrzeć raczą?

Tłukę się w ciemnościach omdlałemi z wysiłku skrzydłami.

I nagle odsłania się szczyt promieniejący...

Niemożliwa, nie do pomyślenia Świętość, gdyby Jego nie było.

I czemże jest Bóg, jeżeli odbłask Jego — życie i dzieło serafickie — poprzez wieki taką cudowną promienieje jasnością?

Bo to nie biedna, mała dusza człowieka jest źródłem i ogniskiem tego światła. Ona potrafiła tylko tak się wznieść — i w tem jej zasługa, w tem jej wielkość — że dosięgła wyżyn Bożych i wzięła w siebie światło Boże.

Potrafiła się wznieść: w tem oto — cała tajemnica Świętości.

W kornem uwielbieniu wpatruję się w osłoneczniony szczyt, — świadectwo granitowe, że jest Słońce... choć w mroku idę.

O jedno tylko

Długa jest litanja prośb, jakie codziennie zanoszę do Boga w rannej i wieczornej modlitwie. Znużony jestem czasem tem wyliczaniem. A niekiedy mam uczucie, że wiele jeszcze opuścił, i z obawą szukam w pamięci...

A właściwie, czyż nie należałoby prosić o jedno tylko?

O wiarę...

Bo jeśli ją posiadam — prawdziwą —, czyż nie mam wszystkiego? I czegoż może mi jeszcze niedostawać? Wierząc, czy będę prosił dla siebie i dla kochanych o zdrowie, o powodzenie... o wszelkie dobra doczesne, skoro z wiarą łączy się nierozdzielnie pewność, że Ojciec wszechmogący wie, czego mi potrzeba, i da wszystko, czego wymaga istotne moje dobro tu na ziemi.

Wierząc, czy będę jeszcze potrzebował prosić o dar miłości i ufności, o pokorę, zdolność zaparcia się, wytrwałość... o wszelkie dobra wieczne, skoro z wiarą tworzą jednolity blok granitowy.

Bylebym wierzył w to, co do wierzenia jest mi dane w Składzie Apostolskim.

Bylebym wierzył tak, jak wierzy matce (dziecku), tuląc się do jej piersi, — jak wierzy ta prostaczka, na klęcz-

kach odbywająca drogę krzyżową, — jak uwierzyli uczniowie Jego wówczas, gdy „wziawszy chleb, pobłogosławił i łamiąc, podawał im”, — jak wierzył Tomasz, gdy wymawiał słowa: „Pan mój i Bóg mój”, — jak Szawel uwierzył, usłyszawszy słowa: „Szawle, Szawle, precz mię przesładujesz?”... jak wierzyła Matka w grocie betleemskiej i u stóp krzyża...

Lecz taką wiarę — tę którą wszystko w sobie zawiera i wszystko zastępuje, — wyprosić sobie można tylko modlitwą, która jest nie tylko słowem, ale czynem: czynem pokory, czynem zaparcia się, czynem miłości. A więc — świętością.

Chyba, że Jezus zechce ci okazać tę samą łaskę, jaką okazał wówczas, na drodze do Damaszku.

Zważ jednak, kto dostąpił tej łaski? Paweł!

Pawłowy duch obudził się w owej chwili do czynu.

„Oczy ich na uwięzi”

Modliłem się:

„Panie, objaw mi się, ja przynajmniej daj mi odczuć Swą obecność: abym nie wahał się i nie wątpił. Bo wtedy dopiero zdołam służbę moją pełnić, jak trzeba, i innych ku Tobie prowadzić”.

A cóż było dni ostatnich?

Czy dziełem było przypadku, iż odeszły ode mnie troski i przestałem się sobą zajmować.... i ten przypływ myśli tworzącej... jasna świadomość tego, co mi uczynić należy... serdeczne uczucie dla tłumy świętego... I ten przedziwny spokój wewnętrzny...?

A za czyją to sprawą wciąż szukam i znajduję te Słowa cudowne, — i mimo niepowodzeń wracam uparcie do modlitwy, — i mimo nędzy myśli martwoty serca nie przestaję klękać przed Stołem Pańskim?

I nie przypadek włożył mi w ręce, dzisiaj właśnie, tę opowieść mądrą, która mi otworzyła oczy na sens Ewangelii o uczniach w Emaus.

Panie mój, ja gruby, cielesny człowiek wciąż proszę o znaki cielesne.... rękę chcę włożyć w ranę Twoją.

I w mojem zaślepieniu nie widzę, że (Ty nie przestajesz dawać znaków Swjej obecności, Duchu Przeczysty.

Zdejm tę ślepotę. Pomóż, bym widział i słyszał, póki jeszcze jasno, dzień pełny... bez znaku łamania chleba.

Przyłączyłeś się do mnie

Po dzisiejszej Komunii świętej sięgnąłem po tę maleńką ksiąteczkę.

Powróciłem do niej po długiej, wielomiesięcznej przerwie:

Dobre zostało mi o niej wspomnienie... dobre, ale blade, niegłębokie. Kiedy ją dzisiaj znowu otrzymałem, znalazłem w niej rzadkie tylko, tu i owdzie, znaki, podkreślenia, które zwykłem czynić przy czytaniu, ilekroć myśl jakaś trafnością swoją uderzy, wzruszy.

Czytałem ją wtedy, — pamiętam, — po każdej Komunii raczej z obowiązku i po krótkiej chwili dokładałem z uczuciem ulgi i znużenia. Wyrzucałem to sobie, że tak mało znajduję stawy, tak mało czerpię zadowolenia z książki, którą tak gorąco mi polecano. Wiele nieraz po przeczytaniu rozdziału natychmiast po raz drugi go odczytywałem, usiłując głębiej w treść jego wnikać i odnaleźć to, czego przy pierwszym zetknięciu może nie umiałem dostrzec... Ale bezskutecznie: myśl się nie budziła, serce pozostawało zimne.

Dlaczego dzisiaj sięgnąłem po nią?

I ledwo ją czytać zacząłem, oderwać się od niej już nie mogłem.

Robotę miałem pilną, wymówki więc sobie czyniłem, że nie biorę się do niej... i oderwać się nie mogłem. Jeszcze jeden rozdział... jeszcze ten już ostatni: [godzina tak przeszło zbiegła niepostrzeżenie. Z żalem książkę zamykałem, pod przymusem zewnętrznego obowiązku.

Każda niemal stronica mówi do mnie jasno, przekonująco, myśl pobudza... każda wzrusza, rozgrzewa... Ołówka nie odkładałem: czyste pierwiej kartki teraz gęsto podkreślone. I mam wrażenie, że jeszcze za mało tych podkreśleń, że jeszcze niejedno pominąłem, co powinno być utrwalone dla pamięci. I tak jednym tchem czytając i czując, jak ogarnia mnie jasność i ciepło, nie przestawałem dziwić się jak to się dziać mogło, że wówczas tego bogactwa nie dostrzegałem, że szaro było wtedy w mej duszy i zimno.

Dlaczego tak wtedy było? Dlaczego dzisiaj inaczej? I oto padły moje oczy na słowa: „Iżali serce nasze nie pałało w nas, gdy mówił w drodze i Pisma nam otwierał?”

I zrozumiałem.

Tyś zobaczył, Panie Miłosierny, że Cię szukam, „ubiegam się o to, aby się przyłączył do mnie najśladzszy Towarzysz”.

I ulitowałeś się nade mną: przyłączyłeś się do mnie na mojej drodze.

Śmiem w to wierzyć.

Bo któż inny, jeśli nie Ty, może „otworzyć tajemnice Pisma, bogactwa nieprzebrane Ewangelji świętej, księgi Ksiąg”, której ta książeczka jest skromnem tłumaczeniem i kornem uwielbieniem?

Tyś to sprawił. Towarzyszu najśladzszy, że umysł mój się rozjaśnił, że serce moje się rozpałało..., któryś się przyłączył do mnie w czasie dzisiejszej Komunii najświętszej.

Spróbuj... odważ się!

My ludzie z „warstw wyższych”, z „lepszego towarzystwa”, zachowujemy się w kościołach zupełnie inaczej, aniżeli tłum prostaczy: postawą, ruchami staramy się objawić jak najmniej z tego, co wyznajemy i co czujemy. Szczególnie mężczyźni.

Przyzwolta postawą, mającą oznaczać uznanowanie i skupienie... lekko zaledwie naszkicowany znak krzyża, pochylenie głowy, ugięcie jednego kolana...

A gdy czasem szczerem wzruszeniem wzbierze serce, gdy w pewnej chwili porwie się ono ku Bogu, to stłumić raczej te uczucia, byle ich ludziom nie okazać. Bo człowiekowi „prawnej kultury” nie wypada przecież uzewnętrzniać swoich bardzo osobistych uczuć... Czy nie tak jest?

Samí sobie tam szkodziemy.

Uczucia muszą się przejawiać nazewnątrz, jeśli mają się rozwinąć i utrwalić. Oddziałują na nasze gesty, postawę, na naszą „formę”. Ale i ta forma oddziałuje wzajemnie na stan nasz uczuciowy.

Pod wpływem książki modlitwowej, kazania, udziału w Ofierze budzi się we mnie poryw ku Bogu, pragnienie modlitwy... Jeśli uklęknę, twarz w dłonie ukryję, to sama już przez się postawa ta musi przyczynić się do wzmocnienia tych uczuć, do nadania im pewnego kierunku. Trudniej przecież zdobyć się na szczerą akt pokuty i błagania stojącemu z podniesioną głową lub wygodnie rozsiadłemu.

I jeszcze jedno.

W kościołach naszych jest wiele ludzi, — więcej, niż nam się zdaje, kobiet zwłaszcza, — którzy bardzo szczerze się modlą. I objawiają ten stan rozmodlenia. Wytwarza się dzięki nim zbiorowość uczuciowa: przez ich dusze przebiega jeden prąd, potężniejszy w miarę tego, im więcej dusz obiega. Jeśli postawą sztywną, poprawną, inną, wyodrę-

bniasz się z tego rozmodlonego tłumu, to wyosabniasz się zeń także uczuciowo, wyłączasz swą duszę spod działania tego prądu.

Zaufaj mi! Zerwij z dotychczasowem przyzwyczajeniem. Odważ się być oryginalnym wobec „swoich”. a upodobnij się temu „niższemu światu”.

Wszedłszy do Domu Bożego zachowaj te formy obcowania z Bogiem, jakie od wieków zwykli przestrzegać prostak.

A więc, u drzwi sięgnij do kropielnicy i przeżegnaj się. Za progiem pokłoń się Mu, w ołtarzu Utajonemu, na klęczkach. A potem włącz się w tłum i czyn tak wszystko, jak on czyni. Wnet doznasz rzeczy nowych, nieznanych ci... Gdy padniesz na kolana w czasie Podniesienia... Komunii, będziesz porwany owym prądem, wciągnięty zostaniesz w krąg modlitewny... doświadczysz w swem sercu uczuć świeżych, słodkich, mocnych. Nie będzie ci ten tłum przeszkodą do modlitwy, ale pomocą najskuteczniejszą, bylebyś się z niego nie wyłączał, bylebyś nie zaznaczał, żeś czemś lepszym, innym, lecz utonął w nim... jedna więcej dusza dziecięca w tej gromadzie dzieci Bożych.

Kosztuje cię to?

Idź w odległe dzielnice, gdzie nikt cię nie zna, na krańce miasta... Zresztą... spróbuj jedną mszę przeżyć na kołanach w tłumie prostaczym i usiłuj tak modlić się jak on modli się. Zobaczysz, już nie potrafisz nie wrócić do takiej modlitwy, poznawszy jej smak rzadki, przedziwny.

Wstydy

Przystępuję do Komunii świętej w mieście: garstka ze mną prostaków wyłącznie kobiety.

W parę dni później — na wsi: sam jeden.

Mszal czytam, uczestniczę w Ofierze, gotuję się do przyjęcia Boga do duszy mojej. A równocześnie takie oto myśli z natręctwem mi się narzucają:

Sam przecież widzisz! Kto pozostał przy ołtarzu?

Dlaczego się upierasz? Poco wracasz na ten stary trakt, dziś już zarosnięty, zapomniany, gubiący się w bezdrożu?

Czy możesz się powołać na swą wiarę? Jaka jej treść istotna? Czy coś więcej ponad ufność, że wysłuchasz ją sobie wkońcu tem upartem, nieustępliwem praktykowaniem i nieugiętem postanowieniem, by trwać i do końca wytrwać w Chrystusowej służbie?... Umysł twój gniewa się i łamie. Czy w czcigodnych tych praktykach nie szukasz może schronienia, nie odgradzasz się niemi przed zwątpieniami?

Przemóc się musiałem, by powstać z ławy, podejść do ołtarza i na stopniu jego uklęknąć.

I wtedy wzmogła się jeszcze rozterka:

Wstydzilem się, upokorzony się czułem i poniżony, że ja tu klęczę, wśród tych kobieciny...

I wstydzilem się, że tym uczuciom podlegam, że tak bardzo jestem mały...

I jeszcze w chwili, kiedy zbliżał się od mnie kapłan z kielichem, zdawało mi się, że on nawet ze zdziwieniem na mnie patrzy, jakby pytał: co ty tu robisz?

I z takimi myślami i uczuciami ośmieliłem się przystąpić do Ołtarza?

A tak. A tak. I także dobrze zrobiłem! Jak gorąco w chwilę potem Bogu dziękowałem, że znalazłem dotąd siły w sobie, by przejść po nich, jak po śmietniku, i jednak uklęknąć w jednym szeregu z tem prostactwem! Winę miałbym ciężką gdybym uległ i dał im się uwięzić w ławie.

Bez winy jestem, chociaż cierpiałem ze wstydu, że tu jestem.

Prawdziwe były, z własnej duszy zaczerpnięte słowa, które po chwili mówiłem w naglejszym wzruszeniu, pochylony, bijąc się w piersi:

Panie, nie jestem godzien... nie jestem godzien... nie jestem godzien, abys wszedł do domu mego, do duszy mojej. tak bardzo małej i nędznej...

Ale rzeknij Słowo, to wielkie, zbawcze, wszystko rozsjańjące...

Zły

Uczy nas wiara, że Bóg jest Istotą, która myśli i chce, — jest „osobą” taką, jak ja. Na obraz i podobieństwo Jego jestem przecież przez Niego stworzony.

I uczy nas, abyśmy tak z Nim obcowali, jak to czynimy z innymi ludźmi.

I wiara ta tak głęboko w nas przeniknęła, że, modląc się mówimy do Niego, rozmawiamy z Nim, jak z Ojcem, Bratem, Przyjacielem... A czyniąc tak, nie potrzebujemy szczególnego wysiłku: jest to dla nas zjawisko proste, przeżycie powszednie.

Ale wiara uczy nas również, że i Szatan jest także istotą myślącą i czującą.

Z tej prawdy zdajemy sobie Jednak sprawę tylko powierzchwnia samą naszej świadomości. Nie wzywamy się w ten fakt. Jest on poza osobistym, bezpośrednim naszym pojmowaniem i odczuwaniem. Mimo że Kościół wciąż stawia go przed nasze oczy jako realność i oczywistość.

Żeby wspomnieć tylko tę modlitwę do Michała Archanioła, codziennie po każdej cichej mszy odmawianą w całym Kościele...

Jest w nas raczej, — mam na myśli inteligencję katolicką, — pojęcie „pierwiastka zła”: coś nieokreślonego

i mglistego, tkwiącego w naszych popędach, instynktach, narowach... Zło... a nie Zły.

Lękam się, wzdragam parsonifikować go, aby przed sobą samym nie wydać się zabobonnym.

A on — Zły — podtrzymuje we mnie takie właśnie nieokreślone, zatarte, niedomyślane i niedopowiedziane pojęcia o sobie: bo za nim, jakby za mgłą, lepiej maskując swoją obecność i skuteczniej przeprowadza plany, jakie ma na mnie.

Czasem tylko na jedną chwilę, w obliczu pewnych zdarzeń przełomowych — czy to w życiu osobistym, czy też w publicznym, — jak błyskawica oslepia nas świadomość jego obecności, i mówimy wtedy z absolutnym przekonaniem... że zgrozą: „To dzieło szatana”... „to jego wcielenie!”.

Ludzie średniowiecza żyli i lumierali z pełną świadomością, że on jest koło nich nieustannie. Uśmiechamy się z uczuciem wyższości: już potrafiliśmy się wyzwolić z tego „przesądu”.

Niepomni tego, że w żywocie każdego świętego, — i tych także, którzy żyli w naszych czasach, wprost na naszych oczach, — z tak niezmierną wyrazistością przejawia się jego, — ducha złego, — obecność i przeciwdziałanie...

Wszystko w religii zazębia się, wiąże organicznie. Wyjęcie jednej, choćby najmniejszej, cegły osłabia trwałość całej budowli: upadek wiary (w osobowość Szatana, w realną jego obecność w naszym życiu osłabia w nas wiarę w osobowość i rzeczywistą wszechobecność Boga-Człowieka.

Jednym z warunków postępu na drodze Bożej jest stałe podtrzymywanie w sobie jasnej świadomości i odczucia, że duch zły jest wciąż przy mnie: czujny, migdy niezaspiający, niczem się niezrażający, gorliwy i wytrwały, — że

muszę nieustannie zмагаć się z nim, jako z istotą obdarzoną wybitną inteligencją i niezłomną wolą, która mnie zna doskonale, — wiele lepiej, niż ja sam siebie znam, — a która ma na mnie widoki ściśle określone, wręcz przeciwnie tym, jakie wytycza mój rozum, a chce przeprowadzić moja wola.

Bylebyś ufał

Postanawiasz: scire Jesum. [Za Pawłem powtarzasz: vi vere mihi Christus.

Do jakiego momentu?

Czytasz książkę z Jego ducha pocztą... pacierz odmawiasz w ustroniu parkowem, wsłuchany w brzęk pszczoł nad koronami drzew kołujących, zapatrzony poprzez gęstwę w dal słoneczną... z oczyma utkwionemi w krzyż tabernakulum, złocący się w mroku, mówisz do Niego albo wzywasz Go albo milczysz w oczekiwaniu... klęczysz przed obrusem białym...

I w tej... i w tamtej chwili jest ci dobrze, niawypowiedziane dobrze. Czujesz się w Betanji, w domu Łazarza, Marty i Marii. Czujesz się u Jego [kolan... byle dłoń wyciągnąć a obejmiesz je, dotkniesz ustami stóp Jego...

Ale ta chwila minie, musi minąć: On opuści dom przyjaciół, pójdzie drogą swego powołania do kresu, na Golgotę.

Czy i tam z Nim pójdiesz? Czy i wtedy nie opuścisz Go? Przecież Piotr nawet opuścił...

Gdy przyjdzie próba cierpienia, zawodu, utraty człowieka kochanego, bólu fizycznego, niedostatku, opuszczenia przez wszystkich, załamania się, ciemności...?

Nie licz na siebie. Nic nie przyrzekaj.

Tylko proś. Tylko ufał.

Bylebyś nie przestawał prosić, bylebyś bezgranicznie ufał. On cię nie opuści.

W poszukiwaniu

Wychodzę na przechadzkę wieczorną, aby odmówić pacierz wieczorny.

Przywołuję na pamięć obecność Bożą... szukam Boga dookoła siebie i w sobie...

I widzę Go utajonego w Najświętszym Sakramencie w tych wszystkich kościołach i kaplicach, których tyle tu wkoło. W którąkolwiek stronę się zwrócę, oczami duszy widzę Ołtarz w mroku zanurzony z migocącym przed nim płomieniem czerwonym... i na każdym z nich sercem wyczuwam obecność Jego Serca, bijącego równem, spokojnem, mocnem tętnem... Powstaje... rośnie... umacnia się we mnie świadomość, że On jest i tu... i tam... wszędzie — uważny, czujny, skupiony, — że zwraca już oczy ku mnie, — ledwo usłyszał moje wołanie, — i głowę skłania w moją stronę... i ramiona wyciąga ku mnie, by wesprzeć, przygarnąć, osłonić...

Z każdego ołtarza poprzez mroki nocne płyną promienie. Jestem na ich skrzyżowaniu. I rozgrzewa się w nich moje serce. Już nie jest samo. Nie trwoży się pustką. Z samej jego zgłębi dobywa się i ku Tamtemu Sercu ludzi, dosięga Go wołanie, modlitwa...

Znak krzyża

Nie opuszcza mnie troska o kochanych. Uświadamiam sobie wielość i wielkość niebezpieczeństw ciągle i zewsząd im grożących: zzewnątrz, ze środowiska ich otaczającego, — i zewnątrz, — z własnych ich dusz... Wypadki nieszczęśliwe, choroby, wpiw szkodliwy ludzi, podstępny ich, uderzenia... własne ułomności, zle instynkty... Złego pokusy, podszepty, zasadzki...

I lękam się o kochanych. Są chwile, kiedy ta trwoga bierze górę nad wszystkimi innymi uczuciami w mej duszy.

Wydaje mi się, iż to niemożliwe, aby ująć mogli tylu niebezpieczeństwom.

Wyobrażam sobie, — nie ja tworzę ten obraz, lecz sam się narzuca memu widzeniu wewnętrznemu, — że oni się znajdują na jakimś bezbrzeżnem, martwem pustkowiu... bezdomni, w mroku, pod ołowianem niebem... opuszczeni... zbита, samotna gromadka, drżąca z zimna i trwogi, wsłuchana w poświsty wichru, w osłupieniu oczekująca chwili, kiedy to coś okropne, czające się w ciemnościach, ukaże się wreszcie i cios zada...

I wtedy — osuwam się na kolana i mówię:

„Pod Twoją obronę...” i „Kto się w opiekę...” i całym sercem błagam o tę obronę i o opiekę, wotam o ratunek...

I oto, w tejże chwili, — nie wrażenie, — ale pewność mam, że dookoła mej gromadki mur się wzniósł gruby i nad jej głowami dach się związał i jasne wśród nich rozpalilo się ognisko i oni kupią się koło niego... już spokojni, ufni... rozradowani... wnet na spoczynek się ułożą i nie przerwie go nic złego...

Krzyż kreślę nad zasypiającymi, a kładąc go mam uczucie, jakbym rygle zasuwał u drzwi tego schroniska, które zbudowałem dla nich modlitwą, którem Bóg ich osłonił, wysłuchawszy błagalnej mej modlitwy.

I pewnością tego wlewa mi w duszę spokój, wesele i niewysłowioną wdzięczność.

I nie odstępuję mnie myśl, że na złe, na najgorsze wydałbym kochanych, gdybym zaniedbał kiedykolwiek tej codziennej wieczornej modlitwy, oddającej w ręce Boże dusze ich i ciała... sam niejako byłbym sprawcą nieszczęścia, któreby w nich uderzyło.

I dlatego od wielu, wielu dni, nie pamiętam, abym kiedykolwiek zapomniiał o takiej modlitwie, nie nakreślił nad ich głowami Krzyża Świętego...

Imię Jegol

W codziennem życiu wciąż na ustach mamy takie wyrażenia „Chwała Bogu”, „Bogu dzięki”, „Boże uchroni”, „Niech ręka Boska broni”, „Ach mój Boże”... i tyle innych podobnych.

Ale wymieniając imię Boga, bymnamniej nie mamy Go w naszej myśli. Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że Go wspominamy. Takie wyrażenie, to — formułka utarta, wykrzyk, którym wyrażamy naszą radość, czy obawę, czy zniecierpliwienie...

Tak nie było zawsze.

Był czas, kiedy te wyrażenia były rzeczywistą modlitwą. Modlitwą pochwalną, dziękczynną, błagalną, przebłagalną.

To był czas, kiedy wszystko, co się w biegu życia zdawało najrealniejszą powszedniością.

czyło, choćby drobiazg najmniejszy, człowiek odnosił do Boga, ciągle Go czuł w sobie i koło siebie, jako sprawcę wszystkiego, — pozostawał z Nim w stałym, nierozzerwalnym związku.

A więc czas, kiedy religia była aktem powszednim człowieka, aktem każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty.

To się zmieniło... u wielu, bardzo wielu.

Dzisiaj nie mamy już Boga w myśli i w sercu. Pozostał tylko na ustach naszych.

Czy to źle? Czy mamy oburzać się na to?

Dziwne uczucie ogarnia, kiedy oboując z człowiekiem, który na jedną chwilę nie zaprzęta swej myśli Bogiem i tak żyje, jakby Boga nie było, albo nawet wrogo przeciw Niemu występuje, kiedy słyszy się, jak on nieustannie, przy lada okazji... Boga chwali, Bogu dziękczynienie składa, o odwrócenie zła prosi.

Nietylko zdziwienie ogarnia, ale i wzruszenie: jak ten Bóg odtrącony, zapomniany, łepiony, jak On jednak głę-

boko wrósł w nasze życie, w nasze obyczaje... jaki On jest trwały i uparty...!

Nie mówmy, że Imię Boże jest brane nadaremno, nie oburzaliśmy się, że to profanacja świętości. Wręcz przeciwnie! Cieszymy się, że w życiu tylu ludzi On jest wciąż, mimo ich woli, czy nawet wbrew ich woli, poza ich świadomością, utajony w własnej ich mowie — i to w roli i na stanowisku właściwym: Sprawcy, Dawcy.... Ojca.

Albowiem dla niejednego z nich przyjdzie godzina — dla iluż już przysła! — kiedy nagle jego myśl zatrzyma się z uwagą przy takim wyrażeniu i kiedy nagle w poczuciu jego nabierze ono pełnej treści. Może to być zwrotnym punktem w jego życiu.

Gdy zewsząd Bóg jest wypierany, cieszymy się, że choć skarbiec mowy naszej przechowuje Go... do lepszych czasów.

Krzyż

Oburzasz się na zawieszanie krzyża w miejscach publicznych, niepoświęconych kultowi.

Ale odłóż, proszę, na chwilę nabok to wszystko, co z znakiem tym wiąże myśl i sense, wiara chrześcijana... A obejmij świadomością jedynie to, co on bezpośrednio mówi do ciebie, rozważ, jaka jest jego treść, — ta, którą pojąłby każdy człowiek, nie a nie nawet nie wiedzący o chrześcijaństwie.

Jakaż to treść...?

Człowiek rozpięty na krzyżu, przybity do niego gwoździami, cierpiący tedy bardzo i w męce tej umierający.

Czyż to nie symbol człowieczeństwa? Obraz życia ludzkiego — prawdziwy, odarty z osłonek i fałszywych pozorów?

Jeśli to nie przyznajesz, to może dlatego, że omijało cię dotychczas cierpienie. Ale nie ludź się. Ono jeszcze przyjdzie:

uderzy w ciebie, albo w bliskich ci, kochanych, — uderzy w ciało albo w duszę.

I wtedy innemi oczyma spojrzysz na krzyż... wtedy wyjawi ci się jego prawda.

I wtedy możesz przyznasz, że człowiek nie błądzi, stawiając, tę Prawdę wszędzie przed sobą, by nigdy o niej nie zapomnieć: i w domu nad łóżem, by ją obejmowało pierwsze spojrzenie po obudzeniu i ostatnie — przed zaśnięciem, i na każdym skrzyżowaniu dróg — i w miejscach publicznych zebrań, gdzie się uczymy, radzimy, stanowimy prawa...

Nie błądzi: bo ten krzyż uczy go, że — mimo wszelkie różnice jakie nas dzielą, — wszyscyśmy równi w cierpieniu. że skuwa nas ono węzłem braterstwa, budząc w nas współczucie, litość, miłosierdzie, — myśl naszą zwraca od rzeczy błahych i przelotnych ku rzeczom wielkim i trwałym.

Czy to nie są dobre uczucia i myśli?

Czemuż tedy oburzasz się?

Anioł Pański

Gdy wracaliśmy do domu z codziennej przedwieczornej przechadzki w góry i mrok już się czynił, dzwoniło na Anioł Pański: Czasem daleko byliśmy wtedy od domu — na ścieżce leśnej — i słabe, stłumione dochodziły nas dźwięki. Czasem byliśmy w ową chwilę tuż pod domem i głośnie, pełnymi dźwiękami rozbrzmiewała dolina.

Przerywaliśmy wówczas rozmowę i, obnażywszy głowy, odmawialiśmy w myśli Pozdrowienie Anielskie i modlitwę za zmarłych i trwaliśmy potem w milczeniu, póki ostatni pogłos nie zamarł w górach.

Raz, przechodziliśmy koło chałupy chłopskiej, i ujrzelśmy klęczących na ściernisku obok siebie: dziada siwego, mężczyznę dojrzałego i chłopca małego. Trzy pokolenia. Trzymali w rękach czapki i odmawiali w cichości pacierz,

twarzami zwróceniu ku zorzy wieczornej, ku wieży kościelnej, z której szczytu płynęły dźwięki.

Wzruszeni, zatrzymaliśmy się na uboczu.

Jak dobre były te chwile: skupione, rzewne, Bożym duchem przepojone!

Jakie to mądre, dobroczynne urządzenie, te dzwony rozbrzmiewające nad głowami naszymi! Mądre i dobroczynne, jak wszystkie zresztą urządzenia Kościoła Powszechnego.

Trzykrotnie wdzierają się codziennie w rozgwar życia ludzkiego, w hałas warsztatów naszych, w męt i chaos uczuć i myśli naszych — wdzierają się pełnym, czystym, harmonijnym dźwiękiem, przypominając, iż jest Bóg, — jest dobro i piękno, — jest duch ludzki którego przeznaczeniem — wznosić się wgórę, dążyć do Boga; zniewalając do wzniesienia oczu ku niebu, do stłumienia krzyku gniewnego, do zaniechania myśli, rodzącej krzywdę ludzką do opuszczenia ręki, wymierzającej cios...

Wdzierają się... ale wdrzeć się nie mogą. Nie słyszymy ich: gwar je zagłusza. A jeśli nawet mimochodem usłyszymy dźwięk dzwonu na Anioł Pański, to nie zwracamy nań uwagi — słysząc, nie słuchamy go — znaczenia jego już nie rozumiemy, wezwaniu jego nie jesteśmy posłuszni... Chyba tu... ówdzie jakaś dusza prostacza.

W próżnię lecą dźwięki. Nie budzą odzewu w sercach ludzkich... biedne, w pustce wołające dzwony.

Nie zrażajcie się jednak... nie ustawajcie! Wołajcie po trzykroć codziennie spóźnionymi sercami! Wołajcie niestrudzenie, rozgłośnie!

Przyjdzie wreszcie dzień, kiedy trud wasz odwieczny będzie nagrodzony.

Musi przyjść dzień, kiedy wołanie wasze — poprzez najgrubsze mury — przeniknie do uszu naszych, uciszy gwar

tłumów, rzuci je na kolana. I słyhać będzie tylko waszą pieśń i wtórujący jej szept wielu tysięcy just szepczących: Zdrowaś Marjo...!

Kiedy wielkie cierpienia znów nas nawiedzą...

Trzeba to brać na serio!

I to także zaważyło na szali, iż zdecydowaliśmy się spędzić lato w G., że tak blisko od dworu jest tam kościół, o paręset kroków zaledwie. Mogliśmy, zwyczajem naszym, często przystępować do Komunii świętej. Szczególny to miało dla nas urok w czasie wakacji.

Wywołało to u naszych gospodarstwa zdziwienie i — jak doszło wnet do naszej wiadomości — ironiczne o nas uwagi. Streszczały się one w jednym słowie: dewoci!

Udawaliśmy, że nic o tem nie wiemy i — robiliśmy swoje.

Lecz dzisiaj, kiedy wyjechalismy od was i — nie wiem — czy kiedykolwiek w życiu się zobaczymy, odczuwam potrzebę, aby w paru słowach wam odpowiedzieć.

Uważacie się za katolików, jesteście nimi z pewnością: widziałem was przecież na mszy co niedziela, poważną ofiarą przyczyniliście się i wciąż się przyczyniacie do wystawienia i ozdabiania tego pięknego kościoła, — dzieci wasze przed kilku laty odbyły pielgrzymkę pieszą do Częstochowy. Musicie wierzyć zatem, że w czasie Ofiary świętej dokonywa się Przeistoczenie kłeba i wina w prawdziwe, najrzeczywistsze Ciało i Krew Boga-Człowieka, że On schodzi na ten ołtarz, jest w tym kościele naprawdę, w najrealniejszej postaci.

Pomyślcie tylko, uzmysłowcie to sobie: przychodzi Bóg i jest obok was. Jezus Chrystus.

Przychodzi do was i dla was wyłącznie. Czeką tylko waszego skinienia. Wystarczy przejść kilka kroków, ukłę-

knać u stóp ołtarza i zapragnąć Go. I wtedy On wejdzie do wnętrza waszego, przeniknie całe jestestwo wasze. I posiądzie Go całego: z całą Jego mocą, z całą dobrocią, i mądrością i miłością. I pójdzie potem z wami do waszego domu i na chwilę już was nie odstąpi. Będzie z wami przy wszystkich waszych zajęciach, troskach, kłopotach, cierpieniach, i będzie wam pomagał, doradzał, będzie was wspierał, pocieszał. To jest jedyne Jego pragnienie.

Kiedy tak mówię do was, czuję najwyraźniej, że moje słowa nie wywołują w was najmniejszego oddźwięku, żadnego drgnienia serca, — że pozostawiają was zupełnie obojętnymi... Ten obraz, który wywołałem, jest czymś dla was martwym, z czym w duszy waszej nie łączy się żadne pozytywne uczucie, żadna myśl realna. Czemu się tak dzieje?

Przypomina mi się ustęp jeden z „Naśladowania”:

„Gdyby bowiem ten Najświętszy Sakrament w jednym tylko miejscu się spełniał i przez jednego tylko kapłana na świecie być ofiarownym, z jakąż gorliwością ludzie zbiegaliby się do tego miejsca, do tego kapłana, aby mogli to ofiarowanie oglądać i być uczestnikami święcenia tajemnic Bożych.

Lecz z woli Bożej jest inaczej:

Mamy wielu kapłanów i na wielu miejscach spełnia się ofiara Chrystusa, ażeby łaska i miłość Boga ku ludziom tem bardziej się okazywała, im obficie Komunia święta rozszerza się po świecie”.

Cóż się jednak okazało?

Nie znieśliście tej powszechności i absolutnej dostępności Ofiary. Widzicie już tylko ceremonję, zaskrzepłą w swych niezmiennych formach. Nie jesteście w stanie wyczuć poza niemi tajemnic Bożych.

Widzicie tylko tego biednego waszego proboszcza, z którym co niedziela przerabiacie przy kartach te same płotecki

i żarciki. A choć on w oczach waszych tak bardzo mały, to jednak zasłania wam Boga, gdy w chwili Podniesienia ukazuje Go wam w Hostji.

A dzwon kościelny przestał być dla was wezwaniem, a jest już tylko wskazówką czasu.

Przestaliście już to wszystko brać na serjo.

Czy to brak wiary? Nie. Ona jest, ale się przysypała popiołem powszedniości. Może kiedyś rozżarzy się, wybuchnie ogromnym płomieniem. Kiedy uderzy w was nieszczęście.

Wtedy nagle dostrzeżecie Boga i z wielkim żalem i gorzycą myślicie będziecie o czasach, kiedy był tak blisko was a wyście Go nie widzieli i nie przyjęli do waszego domu.

Pochwalony

Do dziewczyny wiejskiej, córki gospodarskiej, przyszedł konkurent, syn gospodarski, by rodziców prosić o jej rękę. Wchodząc do domu, pozdrowił obecnych: „Pochwalony Jezus Chrystus!” To pozdrowienie było powodem, że dziewczyna odmówiła chłopakowi: ośmieszył się niemi w jej oczach; okazał, że nie zna się na dobrych obyczajach, że nie wie, co wypada.

Działo się to w roku 1931, w zapadłym kącie o kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy.

Opowiadał mi o tem miejscowy proboszcz.

To nie jest drobiazg — to wydarzenie!

To głupie stworzenie nie pozwoliłoby sobie na coś podobnego, gdyby nie czuło za sobą pewnej już dość silnej opinii. Jej postępowanie jest wskaźnikiem istnienia w jej środowisku tej opinii.

Co ona mówi? Co narzuca tej dziewczynie? Że przyznawanie się do chrześcijaństwa, publiczne wyjawianie swej religijności jest czymś nieprzyzwoitem, co ośmiesza czło-

wieka, świadczy o jego niższości, upośledzeniu, — bo ja wiem, — umysłowem, obyczajowem, „kulturalnem”...

Czy można twierdzić, że wieś nie ma swojej kultury, że w społeczeństwie chłopskiem nie obowiązują kanony obyczajowe twardsze bodaj, niż w innych warstwach?

Wiadomo, jak olbrzymią rolę w życiu społecznem gra naśladownictwo. Warstwy niższe wciąż podpatrują, śledzą co się dzieje nad nimi, i przyjmują z wyżyn wszystko: dobre i złe. Niema prądu, kierunku, idei, które prędzej lub później nie przeniknęłyby wdół. Rzeczy zewnętrzne spływają bardzo szybko: roku nawet obecnie nie potrzeba dla rozlania się nowej mody. Prądy duchowe zużywają na to więcej czasu, ale i one muszą wkońcu dotrzeć.

Jakieżże prawem mielibyśmy dziwić się takim objawom i gorszyć nimi, my, których stosunek do religii od tak dawna właśnie jest taki, albo którzy w ogóle nie zastanawiamy się nad potrzebą jakiegokolwiek ustosunkowania się do niej?

Czy lud nie widział tego? Czy — myślimy — nie wysnuwał z tego wniosków dla siebie?

Przecież tak jeszcze niedawno człowiek, należący do inteligencji, który publicznie przystępował do Komunii świętej, wystawiał sobie tem samem świadectwem upośledzenia umysłowego, o ile nie posądzano go o odgrywanie komedji dla interesu, — co prędzej mu darowywano.

To się zmienia. Ale skutki tego, — oddziaływanie na masy, — teraz dopiero objawiają się w całej pełni.

Wielkiej trzeba nawywności, aby przypuszczać, że religia da się utrzymać na dłużej, jako „religia dla ludu”, jako środek utrzymania go w ryzach, obok sądów i policji.

Będą napewno niektórzy twierdzić, że regułą jest jeszcze ma wsi ten chłopak, który wchodzi do domu przyszłej żony z pozdrowieniem chrześcijańskiem na ustach, a ta dziewczyna, to — smutny jakiś wyjątek, jakiś wyrodek. Tak się

przecież utrzymało wśród nas przekonanie o niewzruszalnym katolicyzmie ludu polskiego!

Nie daj Boże, abyśmy się ocknęli z naszego optymizmu dopiero wśród bardzo ciężkich, może nawet tragicznych okoliczności!

Niechby to wydarzenie posłużyło za ostrzeżenie w porę nam dane.

Weźmie je napewno do serca ta młodzież inteligentna, uniwersytecka, która już tysiącami skupia się przy ołtarzach.

Ona rozumie, że dzisiaj jest taki czas, kiedy publicznie trzeba czynić wyznanie swej Wiary.

Nie wypada

Msza połudnowa. Kościół przepełniony doborową publicznością.

Komunja święta. Ministranci zaścielają obrus.

Dwie panie, które dotychczas klękały przy balustradzie, powstają, cofają się, w tyle klękają,

I nikt się nie zbliża do Stołu.

Celebrans jednak tego nie widzi: zaczyna otwierać tabernakulum. Wtedy jeden z chłopców podchodzi ku niemu i szeptem objaśnia. Ksiądz powoli, jakby ociągając się, przymyka drzwiczki. A chłopiec powoli również odrzuca obrus.

Cały kościół z uwagą śledzi ich ruchy, — niema tę scenę. Z uwagą i jakby z zakłopotaniem. Msza cicha, żadnych śpiewów ani muzyki organowej, więc w tej głębokiej ciszy doskonale daje się wyczuć nastój zebranych.

Bóg zaprasza do stołu, przy którym za pokarm daje Siebie samego. I nikt nie stawil się na Jego wezwanie. Ani jeden człowiek w takim tłumie. Wszyscy odmówiliśmy Mu. I to w mieście, w którem w każdym kościele na każdej mszy cisną się ludzie przy komunji.

Tylko w tem zebraniu — elity społecznej — Bóg został wzgardzony.

Nie. To nie późna pora powodem odmowy. Ale wstyd publicznego wyjawiania swej religijności.

Inteligencja, „sfery wyższe” nie afiszują się ze swojemi wierzeniami. Postać pół godziny w kościele w przyzwoitem skupieniu, — to można, nawet trzeba. Ale komunikować jawnie, wobec zwłaszcza znajomych, to — nie wypada. O ile ktoś wogóle komunikuje, czyni to wczesną godziną, chylkiem, wśród tłumu obcego.

Jeżeli byłeś tam, choć jeden, którego zabolala wzgarda wyrządzona Bogu, i który zatrwożyłeś się o nas wszystkich, to wynijdź, — zaklinam cię — następnej niedzieli z tłumu i klękni przed białym obrusem. I czyn tak ciągle, każdej niedzieli, nie wstydząc się swej samotności. Może wkońcu zauważą twą stałość, wyrzutem im będzie twe „męstwo” i zapragną cię naśladować...

Post

Ksiądz czyta nam z ambony rozporządzenie, dotyczące tego rocznego Wielkiego Postu. A uczyniwszy to, zaczyna usprawiedliwiać Kościół, że żąda od nas tych umartwień. Powtarza więc znane rzeczy, że i ze stanowiska higieny post jest wskazany, przeciwstawia łagodność dzisiejszych przepisów twardości dawnych... i to wszystko takim tonem, jakby chciał powiedzieć: nie miejcie nam za złe, że tego żądamy; to trudno: musimy. Doprawdy, ten ksiądz jakby z zażenowaniem mnie przeproszał, że Kościół ośmiela się żądać ode mnie czegoś nieprzyjemnego.

Nie odosobniony to wypadek. Ale jedno z wielu, bardzo wielu zjawisk, wskazujących na istnienie w Kościele pewnego prądu... kierunku.

On się obawia zrazić wiernych „nadmiernymi” wymaganiami i przez to ich utracić. I dlatego zaleca: redukować te wymagania, z wiadzy czynić użytek jaknajbardziej, najostrożniej... prosić, nie żądać... upominać, nie karać... przystosowywać się... pobażać...

A szczególnie jaskrawo uwidatnia się ten sposób myślenia i postępowania w stosunku do klas wyższych, które raczą jeszcze uważać się za członków Kościoła. Aby tylko jaknajmniej miejsca zajmować w naszym życiu! Nie przeszkadzać nam w powszednich sprawach! Nie naruszać przyzwyczajęń! Być dyskretnym, uprzejmym, „realnym”,... w duchu czasu!

Jakże się to świetnie udało!

Wielu z nas prawie już nie zauważa istnienia Kościoła. Kiedyż przypominamy sobie o Nim? W niedzielne południe na pół godziny... dobrze, jeśli raz w roku z okazji sportu... czasem jeszcze w jakimś nadzwyczajnym zdarzeniu... i kiedy śmierć w oczy zajrzy...

Cierpimy, nie zdając sobie sprawy z tego, że główną przyczyną cierpień świata współczesnego jest zerwanie węzła który łączy człowieka z Bogiem.

Samiśmy temu winni. Ale współwina ciąży na tych w Kościele, co dali się onieśmielić, zakrzyczeć, na drogę kompromisu zepchnąć.

Co za błąd przypuszczać, że odpadną masy od Kościoła, gdy On będzie rozkazywać głośno, władnie, bezwzględnie!

Odpadnie to, co suche, martwe. A przyjdą natomiast rzesze ogniste wyzawców nowych.

Bo ludzkość jest spragniona Autorytetu. Całować będzie rękę, która wskaże jasną drogę i będzie mocna. Z uniesieniem radości powita i dzisiaj, jak ongi i zawsze witała, tych, którzy jej rzuca twardy nakaz:

„Czyń pokutę... ciało umartwiaj... siebie zwyciężaj, rzuć wszystko i chodź za mną...”

I pójdzie... Jak wtedy!

Duch czasu

— Co to za człowiek? — zapytałam o miejscowego proboszcza.

— Owszem, niezły... Ale z duchem czasu nie idzie — odpowiedziano mi — występuje przeciw dzisiejszym strojom, wspólnemu plażowaniu, domaga się ścisłego przestrzegania postów... I naraża się tylko na kompromitację, bo go nie słuchają...

Co to jest „duch czasu”?

To jest duch nieśmiertelny. Istnieje dzisiaj, jak był wczoraj i będzie po wiekach. Wydaje się młody, a jest ogromnie stary, bo ma niespożyty moc odmładzania się.

Treść jego jest zawsze ta sama, a tylko zmieniają się formy zewnętrzne, w których się przejawia.

A treścią tą jest: bunt przeciw wszelkim więzom, które dusza usiłuje nałożyć na ciało, wołanie o najpełniejszą wolność dla elementarnych instyktów i popędów natury ludzkiej, — o wyzwolenie w człowieku tego wszystkiego, co ujarzmiła w nim w ciągu wieków religja, kultura.

Więc bunt przeciw nierozzerwalności małżeństwa, obowiązkowi macierzyństwa, przeciw rygorom postów, przeciw pokucie za spełnione winy... wołanie o prawo wolnej miłości, o świadome macierzyństwo...

I choć ta treść jest, odkąd świat istnieje, zawsze jedna i ta sama, — i taka uboga! — to jednak „duch czasu” dzięki swej nieśmiertelnej zdolności odmładzania się, przystosowywania do zmiennych form życia, jawi się każdemu

pokoleniu w postaci nowej, świeżej, kuszącej, w postaci zwiastuna lepszego, radosnego, promiennego jutra.

Są kapłani, — niemało ich jest. — którzy trwożą się tym buntem, ustępują wobec teroru.

Są i tacy, którzy sami ulegają podszeptom i pokusom „ducha czasu”, albo dają się omotać subtelnej nieraz sofistery i dialektyce jego wyznawców.

W samym nawet Kościele bywają okresy jakby wahania. niepewności i wtedy czyni się ustępstwa, toleruje się, łagodzi, dopuszcza... w jednym, drugim punkcie zawiera kompromisy...

A przyświeca temu zawsze jedna myśl... jedna troska: trzeba nieco profolgować, — oczywista w rzeczach nieistotnych, — aby struny nie przeciągnąć, wpływu nie postradać, na jawne odstępstwa nie narażać się...

Fatalne złudzenie!

Nie ma takiego ustępstwa, które mogłoby zadowolić „ducha czasu”! Uzyskawszy jedno, umacnia się tylko dzięki niemu, by z tej nowej pozycji ponawiać niestrudzone a coraz silniejsze ataki o nowe ustępstwa, o dalsze zdobycze. I tak będzie ciągle.

Jest tylko jeden sposób, aby go zadowolić: zejść mu z drogi, pozostawić mu nieograniczone niczem pole działania... zniknąć.

Ale to jest równoznaczne z wyzwoleniem ludzkiego zwierzęcia.

Ów proboszcz może niewłaściwą obrał drogę, może nieakt jakiego popełnił.

Ale idzie w kierunku, po linii jedynie właściwej i celowej: walki z „duchem czasu”.

Tylko na tej linii — bezwzględności i nieprzejednania — rozwój, rozkwit, moc i zwycięstwo Kościoła.

1914—1918

Wczoraj gromadzili się ludzie w kościołach z przyzwyczajenia, dla zadosyćczynienia wiekami uświęconej tradycji. Niewielu przychodziło tu z potrzeby serca, aby modlić się.

Dzisiaj do stóp Krzyża gna nas potrzeba. Lepiej nam w cieniu Jego. Ulgę nam przynosi modlitwa.

Lakniemy słowa Bożego.

Wpadł do wnętrza naszych straszny wichur wojenny i wymiotł wszystkie powszednie zabiegi, interesy, troski. Jedna tylko pozostała elementarna troska: o byt własny, rodziny, ojczyny. Nic nam już nie przysłania oczu na wieczne zagadki i na wieczne prawdy. Stojąc oko w oko ze śmiercią, która w każdej chwili zagraża ukochanym naszym, odczuwamy też bliskość Boga, pożydamy Go, wyciągamy ku Niemu błagalne ramiona.

Wielka, jedyna chwila dla Kościoła.

Popękają w duszach ludzkich twarde skorupy: rozkruszyły ją cierpienia. Rozmiękły bardzo serca: wlało się w nie dużo łez.

Dzisiaj ziarno Ewangelii nie padnie na opokę, nie uschnie. Na glebie bólem przeoranej, łzami rozmiękłej, — zjedzie, rozkrzewi się dojrzeje i wyda plon.

Siewców tylko trzeba.

Ziarna dosyć. Niewyczerpane jego zapasy w wiecznej nauce o miłości Boga-Człowieka.

Ale siewców trzeba wielu, bardzo wielu. Bo ciżba ogromna dusz ludzkich otwartych do Bożego siewu, otworzonych całym leśmierzem cierpienia.

Czy jest ich dosyć? Palące pytanie.

Czy przewidziano tę chwilę?

A przeczuwając jej nadejście, czy przygotowano zawczasu zastępy wojowników, — kaznodziei, spowiedników, samarytan, — by zmobilizować i w bóg święty rzucić armję miłości i życia w tej samej godzinie, kiedy masy ziemskie rzucą przeciw sobie armje nienawiści i śmierci!?

Wypatrujemy... nasłuchujemy...

Może i tam nie wierzone w możliwość wybuchu i to tak strasznego.

Może i tam nie zdawano sobie z tego sprawy, że wojna niesie ludziom nie tylko głód, mór, śmierć, zbrodnie... ale także — pożądanie wiary, miłość Boga, litość dla bliźniego, tęsknotę do sprawiedliwości.

Może nie przeczuwano, że doba poniewierania i niszczenia wszystkiego, co ludzie zwą szczęściem, będzie czasem, kiedy odzyskają wartość rzeczy nieziemskie, wieczne.

Może... może...

Bo te czasy minione bezlitosnej walki o byt i dobrobyt, o użycie i nadużycie nie oszczędziły nikogo, rdzą wszystko pokryły.

Lecz jeszcze nie za późno!

Chciej teraz zwołaćcie, Pasterze, wasze wojska i wiedźcie je w bóg!

Kościół niech stoi dzień i noc otworem i niechaj bez przerwy rozbrzmiewa w nich modlitwa, pieśń, słowo Boże... W konfesjonalach niechaj ciągle trwają stróże... Po ulicach snujcie się kapłani, wypatrując cierpiących. Do domów wchodźcie, choćby niewzwani.

A gdy zabraknie rąk do pracy, zwołaćcie pospolite ruszenie: czynicie kadry ze świeckich. Pamiętajcie, że w duszach dokonywa się przeobrażenie, że ludzie są inni, niż wczoraj.

Dawniej, głosząc słowo Boże, miewaliście uczucie, że dobywacie zza szkła gabloty numizmaty, stare monety bez kursu: oglądają je ludzie... i mimo przechodzą obojętnie.

I ogarniało was znużenie, zniechęcenie: czuliście płon-
ność waszej roboty.

Dzisiaj każde słowo ze skarbca Bożej Nauki czerpane, —
byle szczere, byle gorące, — będzie to dla tych rzesz cierpią-
cych szczerą moneta. Wyciągają się ku niej łakome palce.

Byle szczere! Byle gorące!

Będzie takie, jeśli weźmiecie w serca wasze cierpienia
ludzkie i przetopicie je tam z treścią Bożej nauki.

Jeżeli wyjdą na łan ludzki dobrzy gospodarze, siewcy
miłości, to jutro będzie lepsze... mimo ogromu zbrodni, mi-
mo triumfu zła dzisiejszego.

Lecz jeśli nikt nie będzie gospodarzył na tych biednych,
rozoranych duszach?

Kazanie

Co niedzielę, co święto w każdym kościele — tłumy
w czasie kazania: głowa przy głowie.

Patrzcie na nie! — Wszystkie oczy w jednym kierunku
zwrócone, w jednym punkcie tkwiące. Poważna, skupiona,
zapatrzona i zasluchana gromada ludzka.

Na każde inne zgromadzenie schodzą się opornie, czasem
niechętni, zawsze krytyczni. Każdy umysł trzeba przeko-
nać, każde serce — zniewolić.

Tu przychodzi rozbrojeni, z otwartymi sercami. Wierzą,
że z ust tych nie ludzkie, ale Boże pada słowo. Więc przy-
mują je z czcią i pokorą więc poddają mu się bez sprzeci-
wu... tylko tego pragną, by się poddać.

Wy, którzy z tej wyżyny do tych tłumów przemawia-
cie, czy zdajecie sobie sprawę z zadania waszego, z niezmi-
ernej godności, w którąście przyobleczeni, z niezmiernej odpo-
wiedzialności, którą dźwigacie?

Czy świadomi jesteście tego, że wy stamtąd Boże
słowo głosicie, i to czyniąc, Boga zastępujecie?

Z jakim drżeniem i pokorą wchodzić winniście na
ambonę! Jak trwożyć się, by wasza ograniczoność, niemoc,
nieprzygotowanie, nieuwaga nie zaćmiły w was, nie za-
gluszyły Bożego głosu!

Czy wy rozumiecie, że tych tłumów chętnych, podda-
nych, cierpliwych, pokornych zawieść nie można... nie wol-
no..., że byłaby to вина straszna, nie do datowania...!

Jest...!

W najruchliwszym punkcie miasta, w wiosenne piękne
popołudnie: tłumno więc i gwarno i strojnie.

Nagle ucichło...

Dźwięk dzwonka... dźwięk słaby, krótki, co chwila, —
w równych odstępach, — przerywany...

Ludzie przyklękają... orientują się: i ja przyklękam.
Ksiądz idzie z Wiatykiem.

Minął... Podnosimy się... A tam nowa gromada pochyla
się przypada do ziemi. Zupełnie jak w lecie, kiedy wiatr
połem leci, fale zboża pędzą przed sobą.

Jacy to różni ludzie! Przekrój całej ludności miejskiej.
Ilu wśród nich wierzy? Czy choć jeden myślał przed chwilą
o Bogu? Ilu na serjo bierze twierdzenie, że jest wśród nas
Jezus?

I oto wszyscyśmy pokłękli.

I była w nas przez tę jedną krótką chwilę świadomość,
wskrzesz przejmująca, że przeszedł między nami. Że to rze-
czywistość.

Dzwonek chłopca, widok księdza, białe obleczonego,
z rękoma na piersi skrzyżowanymi, rzucił miasto na kolana,
— to mędrkujące, sceptyczne miasto.

Przecież w tym tłumie musiał być przynajmniej jeden
człowiek, który nie uważa się za chrześcijanina. A jednak,

— patrzałem uważnie, — nie dostrzegłem nikogo, wśród ciżby klęczącej, — wyprostowanego, z głową nakrytą.

Taka siła tego Imienia.

Powiedzą: siła przyzywania, tradycji.

O nazwę nie chodzi. Jakkolwiek ją nazwiesz, — siła jest i dysponuje nią Kościół.

I chodzi tylko o to, by On miał pełnię świadomości, że ją posiada. I aby jej używał.

O nic więcej nie chodzi: tylko ślepo widzieć i z zamkniętymi oczyma iść za Chrystusem.

Wtedy te same tłumy nietylko na jedną chwilę zegną kolana i pochyłą głowy, ale zerwą się i pójdą za tym Przewodnikiem.

Pójdą wszędzie... choćby na mękę.

W przyszłość

Tam, gdzie dzisiaj leży Sahara, miało być niegdyś morze. Długa, bardzo długa była epoka, kiedy wody tego morza powoli opadały, wyłaniając coraz rozleglejsze ławice piaszczyste... aż wreszcie powstała bezbrzeżna pustynia.

Były długie wieki, kiedy wiara zalewała i wypełniała wszystkie dusze. Od szczytów do najgłębszych nizin społeczeństwo ludzkie w niej żyło: ona była jego żywiołem. Od monarchy do ostatniego nędzarza-poddanego, każdy z tą samą pewnością wierzył, z jaką wiedział, że po nocy ranek przyjdzie. Były różnice w aktach wiary, były sekty i rozłamy: zdumiewamy się że krew się mogła lać o takie różnice. A że się lała to dowód, jak istotną treścią dusz była wiara. Jak niezmierną wagę miała dla człowieka. Oddychał nią, jak powietrzem. Nie dopuszczał, by możliwe było bez niej życie. Niewierzący — o ileby się taki zjawił — zdawałby się tworem jakimś osobliwym, niehumanicznym, przeciw naturze

wykraczającym, potworem, budzącym odrazę powszechną, skazanym na zagładę.

I oto wody wiary zaczynają opadać.

Zrazu — ledwo widocznie. W 18-ym wieku szczyty społeczne tracą ją. W 19-ym — zaczynają tracić niziny. W 20-ym szybkość się wzmacnia: masy powracają do pogaństwa.

Tu i ówdzie, w niektórych krajach, ludzą jeszcze pozory. Tradycyjne wykonywanie pewnych ceremonij i gestów, powtarzanie starożytnych słów, trwanie przy odwiecznych obyczajach — wprowadza w błąd.

To już — jakież to sto! — tylko forma. Treści coraz mniej.

Wiara ucieka przez jakieś szczeliny, gdzieś na dnie duszy ukryte.

Już uciekła... Tam, gdzie były żywe wody... pustynia.

To nie jest porównanie: pustynia jest tam, gdzie niema Boga.

Kto tego nie widzi, niechaj doczeka czasu wielkich wstrząsów społecznych: wtedy mu się oczy otworzą.

Są i objawy przeciwne? Wzmaga się wiara. Biją jej nowe źródła. Cudowne rejestrujemy czyny indywidualne i zbiorowe...

Ale to są oazy. I właśnie dlatego, że ukazują nam się wśród strasznej pustki, — tak olśniewają, tak radują. Kto w cieniu ich żyje i pije z ich źródeł, ten zapomina, że wkoło śmierć.

Idą rok za rokiem, lata kościelne: Adwent... Boże Narodzenie... Męka Pańska... Zmartwychwstanie... Zesłanie Ducha Świętego...

Mijają stulecia... Już drugie tysiąclecie dobiega końca... A te daty, te wielkie rzeczy wciąż się powtarzają, zawsze te same, niewzruszone.

Wśród takiej zmienności rzeczy ludzkich, gdy tyle dzieł przeogromnych i — zdało się — wiecznotrwałych legło w tymże czasie w gruzach i ślad już po nich się zaciera.

Jakież stąd umocnienie wiary i pokrzepienie nadziei!
Lecz również powód do opuszczenia rąk.

Bo ludzkość ogląda się za siebie, na ten szlak przebyty dwu tysięcy lat, i tak się pyta:

Tyle już wieków, odkąd tu zeszedł, — Bóg sam, — odkupił własną Męką winy nasze, dał nam Swój Zakon... przebywa wśród nas Duchem Swym w Kościele, z Ciałem i Krwią Swoją zstępuje na każde nasze wezwanie do dusz naszych, jest nieustannie między nami, ...i czyż jest lepiej?... Czy przybliżyło się Królestwo Boże?

Czyż raczej nie jest gorzej?

Te pytania nie dochodzą zwykle do pełnej świadomości, lecz tają się niesformułowane w angie smutku i zniechęcenia: gdy w dzień Zmartwychwstania rozbrzmiewa: „Alleluja!”

Tkwią już głęboko w podświadomości mas.

Dla nich te dwa tysiące lat — to okres wystarczający doświadczenia.

Przerzućmy się w pierwsze wieki, kiedy to pod tchnieniem Dobrej Nowiny, pokolenie po pokoleniu, rodziły się zastępy apostołów. Przebiegali ziemię od krańca do krańca i każdy wiek przysparzał Kościołowi nowe kraje, nowe świąty.

Z jakimi uczuciami kupili się ludzie przy żłobie betlemskim, przy grobie Pana. Co wówczas wyrażał okrzyk: „Alleluja!” Czem była nabrzmiała pieśń Zmartwychwstania!

To był pochód triumfalny w pewne, niezawodne jutro.
A dzisiaj!...

Przejdźmy się po kościołach w te wielkie dni świąteczne... przypatrzmy się twarzom w tłumie, spójrzmy w oczy, wsłuchajmy się w ton pieśni... Czy słowa jej dają wyraz prawdziwy temu, co myśl zawiera, co serce odczuwa?

To już tylko obyczaj starodawny i czcigodny, bez wiary i nadziei w Wielkie Jutro.

Dla serc ludzkich przestał być Zakon Nowym... zsta-
rzał się. Wcisnęła się w nie niewiara w moc jego, by życie oprzeć na fundamencie Pokoju i Miłości. I to sprawiło, że żywe wody wiary w masie ludzkiej opadają, jakby już zanikają.

A że poza Zakonem Chrystusowym niema i nie może być ratunku ani zbawienia, więc ludzkość, odchodząc od niego, schodzi na manowce i znajduje trucizny.

Nie. Człowiek nie zniesie, nie może znieść rozdzwisku między słowem i czynem, między zapowiedzią a ziszczeniem.

Wierz, w Zakon Chrystusowy. Wierz, iż on jest taką samą dzisiaj Dobrą Nowiną, jaką był w on czas, kiedy go Jezus głosił.

Wierz, że to była chwila jedyna, przełomowa, z którą żadna równać się nie może, ani przedtem, ani potem.

Wierz, że na włos nieumniejszona trwa w nim moc przeobrażenia i uświęcenia życia i współżycia ludzkiego.

I z tą wiarą i nadzieją patrzę w przyszłość i tylko w przyszłość.

I ze mną tak wierzy i też samą niewzruszoną ma nadzieję: wiele serc ludzkich.

Z tą wiarą idźmy do ludzi.

Ale nie mówimy im, że po nocy czarnej pogaństwa ma stać już dzień najpromienniejszy, nie wznosimy okrzyków triumfalnych na cześć teraźniejszości chrześcijańskiej.

Nie mówmy, że dokonało się dzieło.

Tak nie jest: ono się nie dokonało, tylko cana jest
możność dokonania. Wskazana jest Droga, po której je-
dynie dojść można do życia.

Lecz na tę drogę nie weszła dotychczas Ludzkość.

Weszły jednostki, gromadki Bożych dzieci.

Wielka rewolucja nie za nami, lecz przed nami.

Krzyczymy na głos, że wszystko jeszcze do zrobienia:
dwudziesty wiek płynie, a dotąd niemasz wśród nas miłość,
jak nie było jej przed przyjściem Jezusa.

...Święty Kościół Powszechny

Każdy z nas uświadamia sobie, a przynajmniej odczu-
wa, jako fakt realny, przynależność swoją do swojej ro-
dziny, do gminy, w której mieszka, do związku, do któ-
rego należy na podstawie wspólności zawodowej, do tego
czy innego stowarzyszenia, a wreszcie — do swego Państwa
i do swego Narodu.

Każda z tych społeczności zaprzata w mniejszym lub
większym stopniu myśl naszą, absorbuje cząstkę naszych
uczuć. Poczujemy się do tego, aby poświęcać na ich rzecz
pewną ilość naszego czasu, wysiłków. Czujemy się współ-
odpowiedzialni za ich losy. Wnikamy w ich dzieje. Sta-
ramy się wpływać na ich rozwój... Życie tych społeczności
jest i naszym życiem.

Tylko o jednej społeczności nie można tego powiedzieć:
o Kościele...

Jest to zupełnie zrozumiałe u tych, którzy urodzili się
wprawdzie w Kościele Katolickim, przy chrzcie wpisani zo-
stali w poczet jego członków, ale potem odeszli od niego,
zrywali z nim jawnie lub milcząco wszelką wewnętrzną
łącność. Dla nich przynależność do Kościoła jest tylko

formalną pozycją ich stanu cywilnego. Oni nie należą do
Kościoła.

Mam na myśli tych, którzy przyznają się do Kościoła,
wyznają jego wierzenia, stosują się to jego praw, spełniają
przepisane przez niego praktyki. O tej to wielkiej masie
„wierzących i praktykujących” katolików mówię: z bardzo
nielicznymi wyjątkami, ona nie odczuwa swej łączności wew-
nętrżnej z Kościołem, nie poczuwa się do solidarności z nim,
nie troska się o niego, nie czuje się współodpowiedzialną
za jego losy, nie zna jego przeszłości, nie interesuje się tem,
co się teraz w nim dzieje, jakie zagadnienia ma do rozwią-
zania, jakie walki musi staczać, jakie niebezpieczeństwa
mu grożą — nie dość tego — nie zdaje sobie nawet często
sprawy z tego, czym jest Kościół?...

Na wsi istnieje związek z Kościołem przynajmniej zew-
nętrznym, przez parafię. W mieście, większem zwłaszcza, i ten
stosunek zaciera się.

Kiedy odmawiamy „Credo”, czyja myśl zatrzymuje się
z łuwą przy zdaniu: „Wierzę... w święty Kościół Pow-
szechny, świętych obcowanie...” i cząstkę bodaj jego nie-
złębioną treść obejmuje?... i czyje serce na te słowa por-
uszy się?...

Kto jest religijnym, ten nie może nie modlić się za tego,
kogo kocha. Modlitwa błagalna, pomimo nawet jego woli,
wzbiera w duszy, ciśnię się na usta.

Kto z nas katolików, gdy uczestniczymy przy odpra-
wianiu Mszy św., kto z nas łączy się z kapłanem w mo-
dlitwach za Kościół, sercem je powtarza?

A tem bardziej, kto o nim pamięta w swej porannej i
wieczornej modlitwie, kto wlicza go do rzędu tych bliskich
i drogich osób, za które wznosi wtedy błagania? i kto za-
stanawia się i wie, o co prosić dla niego?

Dzień i noc płyną modlitwy za Kościół spoza murów Karmelu, innych zakonów... Do tego chóru ile świeckich głosów się przylacza?...

Jako członkowie każdej innej społeczności, w potrzebie gotowiśmy wystąpić w jej obronie... Czy czynimy to, gdy chodzi o Kościół?

Wręcz przeciwnie. Pozwalamy, aby szerzyły się wśród nas sądy i opinie o Kościele przez wrogów jego rozsiewane, nie przeciwstawiamy się im — a choćbyśmy i chcieli — nie umielibyśmy się im przeciwstawić, bo sami o Kościele prawie nic nie wiemy.

A gdy między sobą rozmawiamy o Kościele, to mówimy o nim tak, jakby on zzewnątrz stał, jakby był czymś dla nas obcym i dalekim. Mówimy twardo, oschle; oceniamy jego sprawę z przesadnym, zgryźliwym krytycyzmem, nie uświadamiając sobie nawet często tego, iż bezmyślnie powtarzamy o nim opinie jawnych lub ukrytych jego wrogów.

I zdumienie ogarnia, ale i podziw, że mimo to wszystko, mimo ten obojętny, zimny, a nawet czasem wprost niechętny stosunek masy wiernych do swego Kościoła — nie mówiąc już o czynnej nienawiści ku niemu nieublaganych jego wrogów — on nie tylko żyje, trwa, ale rozwija się, rozrasta, potężnieje...

Cóżby więc było, jaki nieogarniony rozkwit, gdybyśmy go wszyscy pokochali całą głębią i mocą uczucia, do jakiego są zdolne nasze serca: gdyby w całej masie katolickiej zrodził się i rozplecił rzeczywisty patryjotyzm, jako węzeł wewnętrzny, łączący nas z tą wielką, inajwiększą, świętą, wieczną Ojczyzną naszą.

Czasy są niezmiernie poważne. Ludzkość przeżywa najcięższe przesilenie, wstrząsają nią żywiołowe kataklizmy,

grożące jej ruiną. Rysują się, chwieją i wałą fundamenty współzycia ludzkiego.

Piętrzą się przeogromne zagadnienia.

Kościół Powszechny — On jeden — może je rozwiązać. Bo w nim jednym jest stałość i ciągłość; niezłomna wiara Trognoi: 5-5 — 3 —

w swą wiecznotrwałość; niezmacona świadomość swego powołania; pewność niezachwiana, iż cele wytknięte mu przez Boga — osiągnie. A to wszystko oparte na świadomości, wierze, pewności, że Duch Święty w nim jest i z nim pracuje.

Odczuwamy to. I dlatego ku niemu, jako ku jednemu punktowi jasnemu i stałemu, zwracają się nasze oczy. Nawet wielu ludzi, którzy nie należą do Kościoła.

A on widzi ogrom zadań, jakie go czekają. I na wszystkich polach swej działalności gotuje się, przysposabia i zbroi, aby sprostać.

I widać mobilizowanie się jakby Ducha w Kościele.

Nie jegoż to łaska i bezpośrednia interwencja, że w ciągu ostatniego blisko już wieku u steru Kościoła stają jedna za drugą, postacie tak wielkie i święte? Ale nie wystarczy dowództwo, nawet takie. Niezbędna armja.

I dlatego to wezwanie Piotrowe do organizowania apostołstwa świeckiego. Wezwanie wciąż ponawiane, nagłające, natarczywe.

Czy znajduje w duszach odłzwik dostateczny? odłzwik właściwy?

Daleko do tego.

Bo w nas niema miłości do Kościoła, albo, jeśli jest, to tak słaba, przygluszone innemi uczuciami, nawet wstydzająca się objawić.

A bez miłości apostołstwo nie będzie płodne.

Wierzę, że bliska jest chwila, kiedy w Kościele powstanie ruch odrębny.

Zapoczątkuje go, pchnie we właściwym kierunku, da mu treść, wyposaży w moc twórczą, człowiek jeden, czy może paru ludzi — wielkie, mocne duchy — które Bóg natchnie przeobrzymia miłością do Swego Kościoła na ziemi.

Ileż to już razy w ciągu dziejów Kościoła jawili się tacy święci miłośnicy i takie święte miłośnice Jego, powołani dla spełnienia jakichś szczególnych zadań.

Działo się to w epokach trudnych i ciężkich, a wtedy zwłaszcza, kiedy Kościół, jako i ludzka instytucja, zdawał się tracić świadomość swego najświętszego powołania, tracił grunt w duszach i sercach.

Nie przeżywa on obecnie okresu upadku. Przeciwnie, wszystko świadczy o jego pełnym rozkwicie.

Ale że widzę powagę chwili i pewny jestem, że Bóg wmieścić się musi w zmałowany bieg życia ludzkiego, wierzę więc, iż za progiem są Święci i Świte, których do tego Bóg powoła, aby w sercach naszych rozniecili miłość do Ojczyzny naszej — do Kościoła Powszechnego.

JEDNOŚMY

Modlitwa Pańska

Jedyna, jaką nam pozostawił. Jedyna, której On sam jest autorem. Aby nam wzorem była, jak się modlić mamy.

Mówimy za Nim:

„Ojcie nasz.. przyjdź Królestwo Twoje. Bądź wola Twoja na niebie i na ziemi. Chleba naszego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie. Ale nas zbaw ode złego”.

Nie w własnym imieniu zwracać się mamy do Niego, lecz w imieniu wszystkich nas, dzieci Jego. I o nic nie prosić dla siebie, ale zawsze — dla wszystkich.

O to jedynie, w czym mogą uczestniczyć wszyscy, czego ziszczenie będzie szczęściem wszystkich.

To jest tylko dobrem.

W modlitwie stawać ma przed Bogiem nie człowiek-jednostka, lecz człowiek-społeczność.

Nauką miłości jest Modlitwa Pańska, choć niema w niej ani razu słowa: miłość.

U Stołu Pańskiego

Mglisty był dzisiaj poranek. Mrok panował w kościele, ledwie rozjaśniony kilkoma lampami. A w tym mroku ciżba ludzka tłoczyła się do Stołu Pańskiego.

Myśl w przeszłość biegnie... w pierwsze wieki... w głąb katakumb...

Czyż nie tak samo, było?

Noc podziemna: u... ówdzie, zrzadka, mnuga żółty płomyk kaganka. Z mrocznej głębi z cichym szmerem płynie wolno fala ludzka... Ku światłu płynie... O!... tam...

Smuga świetlana scele się obrus śnieżysty na Stole Pańskim. Nad nim rząd głów ciemny. A wyżej — postać jasna, wyniosła, z kielichem złocistym w dłoni... Raz wraz dzwonek dzwinknie: pokłonem kornym chylą się głowy... Płynie fala druga w głąb mroczną: mnóstwo cichych ludzi ze złożonymi modlitewnie dłońmi...

Tłum i cisza. Ścisk i spokój. I nikt na straży tego pokoju.

Czyż nie to samo?

Niby to samo..., a jednak, jakże inne!

Tamci byli jako dzieci Olca jednego. Spożywszy Ciało i wypijwszy Krew Przenajświętszą, każdy radował się nie wypowiedzianic, nie dlatego jedynie, że w sercu swem czuł obecność rzeczywistą Boga żywego, ale i dlatego, że widział Go, wielbił i miłował w sercach sióstr i braci.

Obręczą miłości skuta była ta gromada w jedną Bożą Rodzinę.

Poprzez ciżbę ona szło gorące tchnienie Bożej miłości. A dzisiaj?

Każdy przyjął Boga swego w głąb serca swego i skupiony, zamknięty w sobie, śpieszy ze skarbem

swoim zatopić się w modlitwie samotnej, rozpałtywać szczęście swoje.

To już nie gromada rodzeństwa przyjmuje Najukochańszego Ojca, sprawcę ich braterstwa. Tu każdy przyjmuje Go sam do siebie, wyłącznie dla siebie. Z Bogiem komunikując, nie komunikują już te serca ze sobą. Obce sobie zostają. Nie rwą się ku sobie pragnieniem ofiary, wsparcia..., a choćby przyjaznem spojrzeniem.

Chłód wiele od tej rzeszy, mimo że wśród niej On sam przebywa.

Chłód od niej wieje...

I zdało mi się że widzę Jezusa tam... ongiś... w podziemiach: ogromnego, unoszącego się nad tą rzeszą, przenikającego ją Swą postacią, tulącego ją miłostnie do Serca Swego, żarem i światłem promieniającego, radosnego...

Jezusa na Górze...

Ale dzisiaj widziałem Chrystusa w każdej z tych piersi utajonego, jakby w klatce zamkniętego, maleńkiego, z czołem pochylonem, ze smutkiem zmagającego się...

Jezusa w Ogrójcu...

Komunia święta przestała być aktem społecznym jednej rodziny Chrystusowej, czyniącym z niej jedno Ciało.

Jako i tamtych dni cudownych przebywa wśród nas Jezus Chrystus. Z tą samą mocą. A że nie daje tego samego, co w on czas, — to nasza wina.

On daje tyle, ile my sami żądamy.

Młara, nie granica!

„Będziesz miłował... bliźniego swego, jak siebie samego!”

Powszechnie oto jak pojmujemy to przykazanie: sam Bóg nie zabrania miłości siebie. Przeciwnie, tę właśnie mi-

łość ustanawia jako granicę miłości bliźniego.

Jakiż stąd wniosek, gdy zajdzie kolizja pomiędzy interesem moim a bliźniego?

Skoro nie tylko wolno, ale nawet trzeba siebie kochać, interes bliźniego musi mojemu ustąpić, 'byłbym mu krzywdy nie wyrządził.

W praktycznem zastosowaniu przykazanie miłości ma dla nas taki istotny sens: „Miłuj bliźniego i tyle czyn dla niego, ile ci pozwala samolubstwo”. Czyż to nie musi doprowadzić do jego unicestwienia?

Czy nie trzeba nam szukać innej wykładni?

„Miłuj bliźniego!”

To przykazanie najważniejsze, po tamtem — naczelnem. Wszystkie, inne są tylko wypływem tego podstawowego nakazu.

Jego doniosłość tak ogromna, następstwa związane z jego spełnieniem lub niespełnieniem takiej wagi niezmiernej, że nie powinno być w umyśle człowieka najmniejszej wątpliwości co do treści i znaczenia istotnego nakazu: najściślej musisz wiedzieć, do czego jesteś zobowiązany.

A tymczasem, każde uczucie jest czemś tak bardzo subiektywnem!

Gdzież tedy podstawa do oceny, czy tyle miłujesz, ile potrzeba — czy spełniasz zatem przykazanie? Ktoś powie: ja tak właśnie miłuję, jak Bóg przykazał... Czujemy: jest w błędzie. Ale, jak go przekonać? Gdzie kryterium, wedle którego możnaby ocenić, czy dosyć miłości?

O to właśnie chodzi. — O to kryterium.

Gdzie ono? Czy ono wogóle jest możliwe? To jest punkt zasadniczy.

Kryterium tem może być tylko i jedynie miłość samego siebie. Wszelkie inne uczucia są w człowieku obecne, albo ich nie ma, — przemijają, wracają, zmieniają się pod względem barwy, natężenia, charakteru. Nic bardziej zmiennego, nieuchwytnego; niczem fale, niczem obłoki w porównaniu z niemi.

A tymczasem samolubstwo jest w każdym z nas zawsze obecne, wiecznie czujne, niezienne, przejasniami obwiedzione konturami.

Nie ma człowieka, któryby nie rozumiał, co to znaczy: siebie kochać. I — który nie wiedziałby, jakie to uczynki rodzi ta miłość.

Czyż Prawodawca nie mówi tedy do nas:

Kochasz siebie. To jest fakt, znany ci doskonale. Otóż tak samo, jakościowo i ilościowo, masz kochać bliźniego; z tą samą określonością, stałością, mocą. To ma być zasadniczem twem dążeniem.

Miłość siebie dana ci za miarę, wedle której masz kochać bliźniego.

Każdy krok jednak na drodze zdobywania umiejętności miłowania innych musi być okupiony umniejszeniem samolubstwa. Każde podniesienie z jednej strony powoduje spadek z drugiej.

A gdy już umiłujesz bliźniego pełnią swego samolubstwa, miara stante ci się zbędna; odrzucisz ją, albo raczej sama odpadnie od ciebie.

Przykazanie miłości jest wciąż deptane. Jednym z powodów jest, że opacznie jest tłumaczone.

Powiada się człowiekowi, kochaj siebie i ludzi taksamo równocześnie.

Nie zdając sobie sprawy z absurdałności żądania, usiłujesz je spełnić. I oczywiście przegrywasz. Nie mogąc pogodzić dwu sprzecznych prądów, dajesz się unieść wielokrotnie silniejszemu. Tem bardziej, że on nie potępiony... nawet rzekomo zalecony. A gdyby, zamiast tego, powiedziano człowiekowi usiłuje w miejsce gamolubstwa wprowadzić miłość — to byłoby zadanie niezmiernie trudne, ale nie absurdałne.

Człowiek umie stawiać czoło największym trudnościom i zwalczać je.

Miłosierdzie

Podwieczór zimowy. Wnet noc zapadnie.

Przedemną idzie stara kobieta zgięta pod workiem ziemniaków. Śpieszy się, by zdążyć przed nocą do miasta: a tu jeszcze tyle drogi, a worek ciężki, szosa śliska...

Za nami wóz turkoce, już nas dogania... mijają. Chłop jedzie wozem pustym.

„Podwieżcie mnie, gospodarzu” — prosi baba. — „Zapłacę” — dodaje.

Chłop ani spojrzął nawet, minął, odjechał.

Ot, poprostu nie chciało mu się: trzebaby jakieś ruchy robić, trudzić się, wyjść, z tej wygodnej pozycji, półsenności... I poco? Gdyby tak człowiek litował się nad każdą babą na drodze spotkaną, to wóz miałby pełny ich zawsze i konia zamęczyłby i do domu się zapóźnił. Bo i pewno! Jeśli tę brat, to czemu i nie drugą, trzecią...?

Jakbym słyszał jego myśli. Z dodatkami przekleństwa na te włóczęgi miejskie, co to teraz spokoju nie dają żebranią o ziemniaki.

Ileż to razy, jadąc powozem i mijając te przygarbione postacie, chwyciłem spojrzenia, które błagały: „Weź mnie...

podwież...!” Nie śmiały „pana” wyraźnie prosić. Mijałem je, jak ten chłop. I czy nie tak właśnie z sumieniem argumentowałem?

Baba złorzeczyć zaczęła: „Boga w sercu nie mają... Boga chyba niema na niebie...” A potem zamilkła, bardziej jeszcze (pochyliła się ku ziemi i szybko... szybko sunęła).

Serce podszeptowało: pomóż... weź na chwilę worek, choć trochę niach odpocznie...

Jakże miałem to uczynić! Już usta otwierałem, już już ręce wyciągałem...

I nie uczyniłem tego. I, mimo wahań, wiedziałem zgóry, że tego nie uczynię.

Bo tego się nie robi, no nie wypada.

Jeszcze gdybym był przechodniem nieznanym! Ale tu mnie znają. Mieliby co opowiadać!

Babom tłumoki nosi na drogach... Nie może być inaczej, tylko źle ma w głowie... (Poza na oryginalność... komediant... pozer... wariat...)

I tak doszliśmy do rozstaju. Kobieta poszła prosto ku miastu, ja skręciłem ku domowi... niezadowolony z siebie.

Obaj, — chłop i ja, — nie spełniliśmy łatwego, dobrego uczynku. Mogliśmy odrobine ulżyć biednemu człowiekowi, a nie uczyniliśmy tego: on — z lenistwa, ja — z tchórzostwa.

Jak trudno zejść utartej ścieżki! Jak niezmiernie trudno zdobyć się na coś, „czego się nie robi”! Zwłaszcza — na coś dobrego... Bo ludzie mniej się dziwią, gdy ktoś jest oryginałem w złem, niż kiedy w dobrym chodzi własnymi drogami. Pierwszego potępiają, ale nie przestają brać na serio. Z drugiego... śmieją się.

Chwalebna jest rzeczą pełnić dobre uczynki, ale te tylko, które w obrębie danej sfery uświęcił zwyczaj. Każdy uczy-

nek, ponad to, co ogół czynił i czyni, gorszy otoczenie a sprawę okrywa śmiesznością.

Jeszcze ludzie darują je li dopatrzą się, — mylnie dopatrują się zazwyczaj, — w czyjeś niezwykle takim postępowaniu motywów egoistycznych. Ale nielitościwie wyśmiewają tego, kto bezinteresownie ośmielił się być oryginalnym w czynieniu dobrze. Palcem go wytykać będą. Pośmiewiskiem może się stać ulicznych dzieci. Jak ten, co by się ubrał według mody sprzed stu lat i tak się przechadzał po mieście.

Chcesz czynić ponad normę i miarę, to idź do właściwego fachu: wdziej habit! Społeczeństwo poto właśnie utrzymuje zakonników, aby czynili ponad normę. To ich oficjalne przeznaczenie. Ale ty, jeśli do nich nie należysz, nie wyrwaj się, nie niepokój nas uczynkami, „których się nie robi”!

„Nie mogę przecież nad każdym litować się, ka ż d e g o „wspomagać”!

Nikt od ciebie tego nie żąda!

Chodzi tylko o to, abyś obojętnie nie przeszedł mimo t e g o j e d n e g o, — abyś wyciągnął dłoń pomocną choćby tylko wtedy, gdy cię ta pomoc nie nie kosztuje. Trochę tylko uwagi i dobrej woli.

O ile byłoby już lepiej!

A tak... odrącony dzisiaj, jutro odda innemu tą samą monetą. Oddychamy atmosferą wzajemnej niechęci, niemal nienawiści. Zatruwamy się nią.

Nienawiść

Odprowadziliśmy chłopca na kolej. Miejsce przy drzwiach wagonu założył, a sam zeszedł jeszcze na peron do nas.

Nadszedł nowy podróżny — robotnik. Wszedł do wagonu i usiadł właśnie na miejscu przez nas zajętem.

Zwróćmy mu na to uwagę.

Odburknął:

— Tu niema żadnych „moich” miejsc!... Siadam, gdzie mi się podoba.

— Przecież pan widzi, że miejsce zajęte. A przytem, tyle jest miejsc do siedzenia, ile pan zechce.

— To sobie tam siadał!

Przywolałszy konduktora: gdy zapoznał się ze sprawą zażądał od tego człowieka, by się usunął.

Jeszcze chwilę się ociągał, kłócił się z konduktorem. Wreszcie ustąpił, przeszedł do innego wagonu. Ale oddalając się, obrzucił nas najordynarniejszymi wyzwiskami. W tej chwili pociąg odszedł.

Pisał nam potem chłopiec: „Kiedy wysiadłem na mojej stacji, ten człowiek wychylił się przez okno wagonu i plunął w moją stronę. Traf tylko, że mnie nie owalał.”

Trzeba go było słyszeć: to już nie była mowa ludzka, ale gardłowe charczenie rozekłonego zwierzęcia. Trzeba było widzieć jego wzrok: ile było w nim skoncentrowanej, złowroziej nienawiści!

On był jej pełen, kiedy tu szedł na kolej: do gardła mu podchodziła, dusiła, rozsadzała go... musiał ją wyładować pod bylejakim pretekstem.

— Co? I do czwartej klasy „panowie” władają? I tu się panoszą? I tu chcą swoje „prawa” narzucać?

Rozmyślnie wywołał awanturę, aby wyżyć się, wyjuszyc. Ale nie dosyć mu było tego: jeszcze w nim kipiało.

Jakby go widział jadącego samotnie i trawiącego w sobie i niemogącego strawić tej nienawiści. Z lubością powtarzał w myśli wciąż te same ohydy, pięści zaciskał, szczęki

zwierał... Więc musiał ulżyć sobie wkońcu: i jadłem rzygnął... temu tam... prosto w twarz.

Czy to coś niezwykłego, wyjątkowego?

Gdzie tam!

To tylko wyjątkowo jaskrawy wyraz i siła napięcia czegoś bardzo powszedniego.

Nie zwykliśmy uważnie dookoła siebie patrzeć — (zbyt zajęci jesteśmy sobą i swojemi myślami): co krok niemal spojrzenia spodełba... błyski nienawiści w oczach... popchnięcia niby przypadkowe. Niechby na chwilę sfolgowała obręcz prawa i władzy!... Poczuliśmyby zaraz pazur na gardle. Jak tam... za wschodnią ściną.

Wschodzi bułnie posiew ziarna szczerze rzucanego w dusze ludzkie na wiecach, na łamach pism, na podwórzach fabrycznych, w szynkowniach. Krzewi się. Płon pełny wydaje.

Niepojęta ślepotą — nie widzieć tego. A lekkomyślność — liczyć na policję i wojsko, jako na jedyny wał ochronny.

Kropla oliwy

Wracaliśmy z Z. koleją z wycieczki na wieś. Mrok już zapadał. Wszedł konduktor i zapalił lampę gazową. Podziękowałem mu za to:

Jak to dobrze, że pan zapala, kochany panie! Bardzo dziękujemy.

— Proszę bardzo — odpowiedział uprzejmie. Ledwo wyszedł, Z. do mnie:

Wiesz co, że doskonały jesteś z tem swoim dziękowaniem. Już nie pierwszy raz obserwuję to ustosunkowanie się twoje do otoczenia. Robi to wrażenie, jakby on właśnie dla ciebie zapalał... że wszystko dla ciebie istnieje i koło ciebie się obraca. Czy nie za dużo egocentryzmu...?

Zmieszał mnie tą uwagą. Dopiero po chwili tak mu wyjaśniłem, jemu i sobie, pobudki mego postępku:

— Doprawdy, na fałszywym jesteś tropie... Podziękowałem przede wszystkim dlatego, bo odczuwałem potrzebę podziękowania: było już ciemno, zaczęło się robić smutno... zapalił... teraz jest przyjemnie... ostatecznie on to sprawił... dlatego nie podziękować?

Istotnie, ja tak stale postępuję: podziękuję, jak dzisiaj, zagadam o tem i o owem, poczęstuję papierosem... Nawiazuje się nic sympatyczne. Uprzejmość moja ich zjednywa i starają się zaraz odplacić równą monetą, jakąś drobna przysługa... czemkolwiek. Czy ja to więc robię z wyrachowania? Nie. Zasadnicza pobudka jest bezinteresowna: po prostu dlatego tak robię, bo wyczuwam, że sprawiam tem przyjemność, a to znowu mnie jest miłe. Jest jednak jeszcze jeden motyw.

Dawnej czyniłem to odruchowo. Od pewnego czasu czynię ze świadomości, że takie postępowanie, mimo pozorną swą błahość, może w pewnej mierze wpłynąć na złagodzenie kwestji społecznej. Nie uśmiechaj się!

Kwestia społeczna — to jest nie tylko kwestia nierównego podziału dochodu, ale to jest także zagadnienie obyczajowe. Warstwy niższe cierpią, nie mogą zaspokoić swoich potrzeb a widząc pełnię użycia na górze. Ale także boleśnie odczuwają ustosunkowanie się warstw wyższych do siebie: to oddcinanie się, wywyższanie, te miny protekcyjne, tony i teniki, jednym słowem, to wszystko, czem na każdym kroku dajemy im do zrozumienia, że my jesteśmy „panami”, a oni — „hołotą”. Niezawsze to pokazują, często nawet nie uświadamiają sobie natury i przyczyny swego rozdrażnienia, ale zgrzytają zębami i odplacają nam niechęcią, nienawiścią za naszą pychę... pyszkę raczej. I to nasze zachowanie się, ich na to reakcją uczuciową jest jedną z przyczyn, nie najmniej

szej wagi, rozdźwięków społecznych. To właśnie przyczynia się do wytworzenia tej zatrutej atmosfery, w której się wszyscy dusimy.

A przeciwnie, jeśli się do nich idzie z dobrem słowem, z wyciągniętą dłonią, jeżeli się czyni mały bodaj wysiłek, aby zatrzeć różnicę sfery, stanowiska, wykształcenia, wychowania a czyni się to naturalnie, bez szarży i komedji, bez pozy i polowania na popularność ot tak poprosu, „z dobrego serca”, to takie postępowanie sprawia im zadowolenie, podnosi ich we własnych oczach, budzi dobre uczucia. I to moja „akcja” i wywołana w ich duszach „reakcja” zbliża nas wzajemnie ku sobie bardziej, niżby się to na oko zdawało.

Ani mi w głowie twierdzić, by to, co sam robię i co tobie i wszystkim radbym zalecić, — rozwiązywało kwestję społeczną. Ale ją złagodzi. Tego jestem pewny.

To jest kropla oliwy między tryby i koła ogromnej maszyny społecznej, skomplikowanej, groźnej.

Sam na sam

W książkach, zawierających wskazania życia duchowego, powtarza się stale jedno naczelne wezwanie: nie przywiązuj się do nikogo i do niczego! Zerwij węzły uczuciowe, jakie cię łączą z innymi ludźmi! Wykorzeniaj z serca swego przywiązania ziemskie: przyjaźń, miłość! Niechaj w nim pozostanie jedno jedyne uczucie: miłość do Boga.

A już ze szczególną stanowczością i natęczywością zwraca się do wezwania do zakonników i zakonnic, jako tych, których powołaniem jest oddanie się całkowite Bogu.

Dusza, która idąc za nim, osiągnęła najwyższy szczyt doskonałości, przebywa w absolutnej samotności, sam na sam jeno z Bogiem. Ja i Bóg w najściślejszym obcowaniu, a pozatem nikt i nic... cisza i pustka kosmiczna, — oto ideał

świętości, mający przyświecać naszemu życiu wewnętrznemu, świadomemu naszemu dążeniu do Boga.

Ile razy spotkam się na kartach książek z tem wezwaniem, budzi się we mnie odruch wątpliwości... protestu. Głos wewnętrzny ostrzega: tu coś nie jest w porządku. Albo ja opacznie rozumiem to wezwanie, albo w nim samem tkwi błąd jakiś.

A codzienne doświadczenie, obserwacja z pomocą przychodzi, potwierdzać się zdaje słuszność tych wątpliwości i tej niechęci.

Obserwacja ludzi, którzy weszli na drogę życia wewnętrznego, poważnie i konsekwentnie pracują nad swem uświęceniem.

I oto u wielu z nich widzimy, że mają przed oczyma to naczelne wezwanie i usiłują je realizować w swem życiu.

Jaki tego skutek? Ten, który można stwierdzić nazewnątr, w sferze ich stosunków z innymi ludźmi, a przede wszystkim z najbliższem ich otoczeniem?

Człowiek taki zaczyna się z niego wyosabniać, wyobcowywać. Spełnia swoje obowiązki najściślej, najsumiennie i coraz to lepiej. A mimo to ci najbliżsi nie czują się dobrze: gorzej się czują, niż dawniej. Coś im przeszkadza. Czegoś im brakuje.

Jakaś ścianka niewidzialna a jednak nieprzenikalna podnosić się zaczyna między nimi a nim i najpierw utrudnia a potem nie pozwala na bezpośrednie, wewnętrzne komunikowanie się, milczące obcowanie dusz ze sobą.

Rośnie w nich uznanie dla niego, szacunek, nawet cześć. Ale jednocześnie wyczuwają chłód coraz silniej i coraz boleśniej. Zaczyna się koło niego wytwarzać pustka, mimo że obcowanie zewnętrzne trwa dalej niezmiennie.

Czy może być inaczej? On pracuje nad wykaraczowaniem ze swego serca „ziemskich” uczuć: czyż oni mogą tego nie

odczuć i nie reagować na to? Serca ludzkie są jak struny: wibrują i dźwięczą, gdy inna struna rozdrga się i zadźwięczy: — milkną, gdy tamta ścichnie...

Na tem się kończy, jeśli to człowiek z materiału bardzo szlachetnego, jeśli to dusza subtelna, delikatna, lotu górnego, płonąca naprawdę płomieniem prawdziwej miłości do Boga. Mimo pełnego i bezwzględego skoncentrowania swego życia wewnętrznego w jednym kierunku, — ku Niemu, — nie straci jednak z oczu swego otoczenia, nie przejdzie do porządku dziennego nad jego potrzebami uczuciowymi, nawet nieulawnionemi. Otacza go atmosfera, jeśli nie ciepła, to przynajmniej jasności i pogody. W duszach tai się czasem bolesna tragedia. Ale w wielkim ona stylu, a ból jest wynagrodzony wielkimi walorami.

Inaczej się dzieje, jeśli to dusza z pospolitszego kruszcu. natura grubsza, a przytem inteligencja ograniczona.

Zająta, pochłonięta realizowaniem nakazu jednoczenia się z Bogiem mimo i poza wszystkimi i wszystkimi, nie ustrzeże się myśli i odczucia, że ci wszyscy, — a więc otoczenie najbliższe najbardziej, — to tylko przeszkoda w jej pracy nad uświęceniem się. Traktuje też to otoczenie jako nieznosną zawadę; stosunek do niego staje się wyniosły, sztywny, suchy... twardy, czasem bardzo twardy.

To wywołuje, musi wywołać reakcję. Do czego to doprowadza! Do wielkich nieraz cierpień, do zadawania sobie wzajemnie najcięższych ran...

W sali wykładowej

W sali wykładowej dla studentów medycyny wzdłuż fryzu pod sufitem napis łaciński z starożytnej księgi wyłety. przyszłych lekarzy upominający, by do łóża chorego przystępując, jego przedewszystkiem, — człowieka cierpią-

cego, — a nie chorobę tylko, mieli na oku i ulżenie mu za pierwsze swe zadanie mieli.

Jakże koniecznie tę samą maksymę, — przystosowaną tylko do właściwości innych zawodów, — wciąż stawiać przed oczy i tej młodzieży, która gotuje się na przyszłych sędziów, urzędników, nauczycieli...!

Pełniąc funkcję publiczną, nietylko myśl o „sprawie”, którą masz „załatwić”, ale i o tym człowieku, który przychodzi z nią do ciebie, albo do którego ty się z nią zwracasz. I przy najściślejszem przestrzeganiu interesu publicznego przewodnią niech ci będzie myśl, by temu człowiekowi dopomóc, — a gdy nakaz prawa zniewala cię do obciążenia go nowym, nieraz nad miarę ciężkim obowiązkiem, — by wejść w jego położenie, do możliwej granicy uwzględnić warunki jego życia... a przynajmniej w obcowaniu formy zachować ludzkie...

I to zawsze, na jakimkolwiek znajdziesz się stanowisku, niezależnie od wagi funkcji, jaka ci będzie powierzona. Maksyma ta obowiązuje taksamo sędziego, który wyrokuje o wolności przestępcy, czy dygnitarza, od którego decyzji zależy los tysięcy nieraz ludzi, jak i tego kasjera, który przyjmuje i odbiera pieniądze, i urzędnika sporządzającego znaczki pocztowe...

Od woli każdego z nich zależy, od nastawienia wewnętrznego, czy będzie kołem lub kółeczkiem bezmyślnem bezdusznego mechanizmu, który krępuje, znieważa, uraża, łamie, rani... strach, niechęć budzi, odrą, do odporu i buntu popycha, — czy też myślącym i czującym organem żywego organizmu, który ujmuje, układa, reguluje, normuje, harmonizuje... szacunek budzi i zaufanie, wiąże wszystkich w całość, w społeczność, na wzajemnem zrozumieniu i na dobrej woli wspartą.

Komuż to zawdzięczam?

Głos ci drżał ze wzruszenia, kiedy w czasie spowiedzi mówiłeś o dobrodziejstwach, jakich doznałeś w ubiegłych miesiącach:

O tem, żeś już potrafił trwać wiernie przy swoich obowiązkach z wolą sumiennego ich spełnienia... i nie wahałeś się, gdzie jest droga twego obowiązku i nie wybiegałeś w przyszłość niespokojną, zatroskaną myślą.

O tem, że tyle mniej niż dawniej zajmowałeś się sobą, owszem, myśl twoja szła ku ludziom ci powierzonym i sprawom ci zleconym.

O tem, że przeciwności i trudności nie wytrącały cię z równowagi, owszem, stawiałeś im kzoło ze spokojem i ufnością.

O tem, że ci sił nie brakło, by sprostać swym obowiązkom, a jeszcze pomocy doznawałeś od ludzi.

O rosnącym pociągu do modlitwy, o dobrych chwilach spędzonych na niej.

O możliwości częstego przystępowania do Stołu Pańskiego.

O nieopuszczającym cię poczuciu dziecięstwa Bożego, odczuciu Jego bliskiej obecności, ufności w Jego miłosierną opiekę.

O niezłomnej w tym czasie pogodzie ducha i niewzruszonym pokój serca...

Wdzięcznością ci serce wzbierało ku Bogu za tyle łask doznanych. Ta spowiedź była jednym aktem dziękczynienia.

Towarzyszyło mu jedno pytanie: czemu tak szczerze jestem obdarzony? czemu... komu to zawdzięczam?

Miłosierdziu Boga, Jego nieskończonej dobroci. Tak. Ale ona zwróciła się ku tobie i zlała się na ciebie nie tylko dlatego, żeś okazał tę podrobną dobrej woli.

Ona była także wysłuchaniem tych wszystkich, którzy się za ciebie modlili i wciąż modlą. I była także nagrodą tych wszystkich cierpień, które tyłu z poddaniem zniosło i wciąż znosi z myślą o tobie i w intencji twego nawrócenia. Ku tym duszom zwróć się także z dziękczynieniem. I przyłącz się do ich modlitw za innych, za tych, którzy tam są jeszcze dzisiaj, gdzie ty byłeś wczoraj. — poza Bogiem.

Tak się modląc, okażesz i Jemu najlepiej swą wdzięczność.

Czy tylko czczy forma?

...Staram się przecież spełniać moje obowiązki jaknajlepiej... na ile mnie stać. Cały czas oddaję, nie żałuję wysiłku: naprawdę, robię, co mogę... A mimo to, stale te pretensje, żale... Czy to nie może boleć...?

— Tak, wiem o tem. Może nawet za wiele robisz, za mało się oszczędzasz. Ale mogę cię zapewnić, że twój trud, oddanie się jest należycie oceniane i doceniane, znajduje tam pełne zrozumienie i wdzięczność. — Co innego zatem musi być powodem tych pretensyj, o których mówisz. Wobec tego, że nie chodzi tu o to, co robisz i ile robisz, — czy nie należy zapytać: jak robisz? Albo raczej: — w jakim usposobieniu, nastroju? Czy praca twoja jest owiana pogodą, serdecznością... miłotą? Może pewna sztywność... oschłość, — nie kłóć powiedziec — twardość — wywołuje z tamtej strony reakcję, która skolei w tobie odbija się uczuciem żalu...?

— Może... A nawet tak jest napewno. Ale czy to są słuszne pretensje...? Czyn jest przecież rzeczą najważniejszą, a raczej — jedyną ważną. Poco jeszcze te dodatki? Cała ta okrasa sentymentalna, która nic do rzeczy samej nie dodaje. Gest, frazes, czcza forma bez treści, bez wagi. Dobrze dla dziecka, ale nie dla dorosłego. Mnie tego nie potrzeba. I może dlatego nie pojmuję, że kto inny tego potrzebuje i tyle znaczenia przywiązuje do tego.

— Stanowczo nie godzę się z tem że tobie tej „okrasy” nie potrzeba. Dowodem tego — twoja reakcja uczuciowa — tak silna! — na owe „pretensje”, które jak się przejawily? Według własnej twej relacji: jedynie pewną formą obcowania... sztywną poschłą. Niczem innem. — Nie potrzeba mi zresztą na to żadnego dowodu. Znam cię: wiem, jak mocno czujące masz serce. A tu właśnie chodzi o to serce. O nie innego.

I musimy się z tem liczyć, że ono ma swoje potrzeby. Wymogi, głody, które bezwzględnie domagają się zaspokojenia, mimo że rozum zgóry, bez pobłażania na nie patrzy. A jeśli nie są zaspokojone, to skutek — ot, taki, jaki w tej chwili właśnie widzimy: wzajemne podrażnienie, rozterka, mimo, że wszystkie istnieją warunki obiektywne, aby była pełna harmonja.

To trudno! Wśród pierwiastków, z których się składa człowiek, jest i serce. I w każdym współzyciu potrzebuje ono innych serc i domaga się, by one wypowiadały się całą skalą zewnętrznych objawów: od łez do uśmiechów, od milczącego uścisku dłoni do dziecięcej pieszczoty. — Im bliższe, intensywniejsze współzycie, tem silniejsza potrzeba tych objawów, tem więcej ich trzeba i różnorodniejszych. Bo i okazuj tu więcej do łtarc: zaspobiają się tu silniej du-

sze, więc oliwa niezbędna między tryby. Nie życzyłbym ci stałego obcowania z człowiekiem, który obywałby się bez serc innych, nie miałby do nich żadnych „pretensyj”. Co chwila — wierz mi — trafiałyby w ciebie od niego uderzenia, które odczuwałbyś bardzo boleśnie, a on nie zdawałby sobie z tego nawet sprawy, że rani, i zdziwiłby się, gdyby mu to powiedziano.

Ale nie mogę się z tem zgodzić, że czyn, spełnienie obowiązku, to — jedynie ważna rzecz, istotna. Nie w jednakim oczywiście stopniu, ale istotną jest także uczuciowa atmosfera, „aura”, w jakiej to spełnienie dokonywa się.

Stwierdzi to proste, bardzo łatwe doświadczenie: spróbuj kiedy w jakiejś konkretnej sytuacji nie dociągnąć do pełni obowiązku, zrób nie tak dobrze, jakby należało. Oczywiście w rzeczy wagi drugorzędnej. A zaraz potem wyznał mu to, z całą szczerością wskaż mu jako przyczynę tego swoją słabość, albo... bo ja wiem — cokolwiek... poprostu, że ci się nie chciało. I mów o tem serdecznie, mile.

Albo zaniędbaj coś dla dogodzenia mu, ot, dla spędzenia z nim chwil na gawędzie. Zobaczysz, jaki skutek będzie tego: bliższy się ciebie poczuje, serdeczniej nastrojony. A to jest realne dobro, które nieraz o wiele przeważa szkodę, jaka może powstała wskutek twego zaniędbania.

Przyczyna tego?

Bardzo prosta. Choć każdy z nas wie, jak trudno spełniać dobrze swój obowiązek, — stale /wszystko, co nam sumienie pełnić każe, — ile trzeba do tego wysiłku, zaparcia się — to jednak nie wzrusza nas fakt, że ktoś inny właśnie tak czyni. — Powiadamy sobie spokojnie: ano, zrobił to tylko, co do niego należało... i przechodzimy /nad tym

faktem do porządku dziennego, jako nad czemś, co jest samo przez się zrozumiałe, najzwyczajniejsze. A zwłaszcza dzieje się tak, gdy chodzi o kogoś bliskiego, współżyjącego z nami. Niezmiernie szybko osławiamy się z jego obowiązkowością. Jako z czemś należnym nam.

A do tego u ludzi religijnych przyłącza się jeszcze jedno. Podświadomie tai się w myśli a da się ująć w takim zdarzeniu tak konsekwentnie, stale spełniając swoje obowiązki, dajesz swemu otoczeniu wiele dobrego. Ale ten twój altruizm nie jest wolny i od przymieszki egoizmu: towarzyszy ci w tem wszystkim myślisz o sobie, o swojem wyrobieniu, doskonaleniu... Nietylko dla innych, ale i dla siebie pracujesz, dla swego zbawienia. A tymczasem każdy najbłahszy nawet objaw serca, — serdeczne słowo, wejrzenie, uśmiech, pieszczotę, — przyjmujemy jako dar, jako coś niezwykajne, nienależne, podyktowane wyłącznie bezinteresowną myślą o nas. I dlatego każdy taki objaw do nas skierowany, wywołuje natychmiast w nas uczucie wdzięczności, a za nią wiele innych dobrych uczuć.

— Tak... Niewątpliwie to wszystko prawda... ale czy to łatwo się zdobyć na tę serdeczność, na uśmiechy i miłe słówka, gdy człowiek wciąż się kręci w kieracie codziennych obowiązków do dna jest nieraz niemi wyczerpany, gdy tyle rzeczy nuży, nudzi, drażni, wytrąca z równowagi, zamąca pogodę.

— I jak trudne! Trudniejsze od dźwigania bardzo ciężkiego obowiązku.

Właściwa droga

Już się w tobie zbierać zaczęły pretensje, żale, gorycze... takie same, jak ongiś...: że się tobą nie zajmuje, że cię w

smutku nie odczuła i samego pozostawiła... serca nie okazuje, nie umie okazać. A do nich się przyłączyły zarzuty, wtedy nieznane i niemożliwe.

Nie wybuchnąłeś jednak gniewem, ani uderzyłeś twarzą, raniąc słowem, bo teraz ci tego uczynić nie można... nie wolno. Ale zaparłeś się w milczeniu. I stała się atmosfera, — jak tyle razy wtedy, — ciężka, nie do zniesienia. Bo i ona skurczyła się w sobie, w skorupę milczenia ukryła się: tylko oczy rzucały niespokojne, zmęczone spojrzenia. Wieczór i dzień następny zeszedł w tem dusznym milczeniu, przerywanem tylko koniecznymi słowami. Rosła w was fala rozdrażnienia, gorzkości, niechęci, ostrych, niesprawiedliwych sądów, gniewu...

Aż drugiego wieczoru przyszła do ciebie i wszczeła rozmowę o sprawach bieżących... I nagle opanowałeś się.

I w tejże chwili stało się to, o co codziennie prosisz w modlitwie: odwróciły się twe oczy od siebie samego, a zwróciły się ku niej... ku innemu człowiekowi. A za oczyma poszło serce. Zapomniałeś o sobie, a znowu zatroskałeś się o nią: o jej potrzeby, o jej smutek... o jego powody, o sposoby zaradzenia.

I w jednej chwili gniew opadł, zgasły żale, ustąpiła gorzkość, przestałeś sądzić. A natomiast litość odczułeś i przyszło wyrozumienie i serdeczne pragnienie wspomnienia.

Wtedy znalazłeś słowa trafne, miękkie, kojące i takie gesty, które nie odstręczają. Potrafiłeś rozdygotaną uspokoić, oporną nakłonić do pozostania, do mówienia. Potrafiłeś wydobyc z niej potwierdzenie twych przypuszczeń, — podszeptanych ci przez serce, sobą nie zajęte, więc jasnowidzące, — i wkońcu to wyznanie, które ci było wielką niewspółmierną zapłatą. — że już spokojna jest... dobrze jej jest.

Pożegnaliście się mocnym, serdecznym uściskiem dłoni... I ty pozostałeś spokojny... z weselem w sercu. Już nie czułeś się sam.

I oto jedno więcej doświadczenie, jaka droga prowadzi niezawodnie do celu. Cudownie przeprowadzane w duszach naszych... Nie przez nas samych... lecz Ręką najmiłościwszą... Czuleś Jej dotknięcie. Odczuwałeś Jej nieodpartą działanie i moc.

Z kimkolwiek Bóg cię zetknie, pierwsza twoja myśl niechaj będzie: czego on ode mnie może potrzebować? w czym mogę mu pomóc?

Ale przede wszystkim — w współżyciu z tą garstką, z którą trwale związany. Choć raz w dniu oderwij się od siebie, podejść ku nim myślą i sercem, pomyśl i wczuj się w ich położenie i potrzeby, zatroskaj się o nich, pytaj się, co jest w twojej mocy, by im dopomóc, ulżyć, osłodzić...

Już wiele będzie, jeśli dzięki tym przemyśleniom twoim ty sam nie będziesz powodem ich smutków i cierpienia.

A bylebyś tak ciągle czynił, nigdy nie zapominając, niczem się nie zrażając, — ujrzyś wkoło siebie spokój, pogodę, uśmiech, radość. I samemu będzie ci coraz jaśniej, cieplej.

A źle ci jest... czujesz się opuszczony... łakniesz pociechy, oglądasz się za oparciem, tęsknisz za dłonią i sercem?

Jeden na to lek: wyjdź z siebie, rozejrzyj się dookoła, podpatruj i podsłuchuj ich troski, smutki, cierpienia. I biegnij z pomocą... z dłonią i sercem.

I w tejże chwili stanie się cud: głód twój własny będzie nasycony, łzy twoje osuszone, ze zdumieniem staniesz przed własną duszą... tak ci się ona rozświeceni...

Kruszynę dasz ledwo chleba, a nadmiar wzamian odbierzesz.

Pytanie

Masz ciężką troskę... bieda jakaś spadła na ciebie. Zwierasz się z tem komuś z bliskich ci, przyjaciół, znajomych... Przybiorą zatroskany wyraz twarzy zadadzą kilka stosownych pytań, wypowiedzą słowa współczucia... Ale w tem wszystkim nie wyczuwasz czegoś rzetelnego, głębszego, lecz przeciwnie, — jakiś przymus, konwencjonalną formę bez treści, czy z odrobiną zaledwie treści.

O tem się zresztą przekona najlepiej kontrola samego siebie, gdy skolei ktoś inny tobie będzie się zwierzał ze swoich trosk i cierpień.

Stwierdzisz napewno, jak mało cię wzrusza jego opowieść, jak niewiele obchodzi jego los, jak przymuszać się musisz do okazania mu zainteresowania, jaki jest rozdźwięk między tem, co okazujesz, a tem, co czujesz naprawdę?

Czy często dzieje się inaczej?

Kiedy na widok cudzej niedoli zadrga w tobie serce, rozdrga się wzruszeniem, dobrą stanie się wola i porwie się do czynu dobrego?

Kiedyż dostrzegasz w oczach słuchacza błysk jasny i ciepły i wyciągnięte ku sobie ramiona?

Jak niezmiennie czasem rzadkiem jest miłość, miłość bliźniego!

Wierzę że na niej jedynie oparłszy się zdołamy się dźwignąć i odrodzić.

Wierzę, że jej jedynie mocą zwyciężyć zdołamy zleptęgi, dzierzące nas w niewoli.

Jakże jednak budować na niej, kiedy ona taka słaba strasznie i w mojem sercu i w sercach innych?

Skąd wogóle ta wiara w jej moc?

Przeżycia własne, codzienna obserwacja czyż raz nie powinna oczy otworzyć na tę prawdę, że wyobrażenia o miłości, jako o Mocy zbawczej, to sny tylko, marzenia, ułudny wizjonerów, szukających w nich ucieczki przed zbyt bolesną rzeczywistością?

A jednak ta wiara trwa we mnie niewzruszona.

Ja wiem, że nic jej nie zachwieje.

Skąd ona? Gdzie jej źródło?

Słyszeliśmy o ludziach, — byli zawsze w każdym pokoleniu, — widzimy ich i dzisiaj, — mężczyźni i kobiety, — którzy płomień mają w piersiach. I widzimy, co oni dokonają, dokądkolwiek się zwrócą z żarem swych serc... jak się wszystko przeistacza w płomieniach tych ognisk: sny się spełniają, ułudny bór na się ciała, marzenia się ziszcza.

A czasem, — niekażdemu dane jest to widzieć, nie w każdym dzieje się to pokoleniu, — w czyjejs piersi płomień wybucha z taką siłą, przerzuca się na tyle wkoło serc, że w pewnym punkcie ziemi powstaje jakby pożar miłości...

Były epoki, kiedy kilka ich rozpalało się równocześnie. Przegromme łuny.

I zdalo się już wtedy bliskie powszechne Spełnienie.

Jest więc zdolne serce ludzkie do rozplomienienia się miłością. I wtedy staje się Mocą. I wtedy nie mu się nie oprze. I wtedy dzieją się cuda.

To nie marzenia. To rzeczywistość. Wystarczy oczu tylko nie zamykać, rozejrzeć się po szpitalach i przytułkach, po szkołach, klasztorach i... rodzinach... A zwłaszcza podpatrywać, umieć podpatrzeć, zwykłe, szare, powszednie uczynki wielu, bardzo wielu kobiet.

Tu nie potrzeba wiary. Wystarczy obserwacja.

I ta sama obserwacja przekona cię, że i w twojem sercu tli się... bodaj małeńka isierka.

Zwiąż te dwa fakty.

Wśród milionów serc twardych, zimnych, — z ledwo tlejącą w nich iskrą, — tu... ówdzie... rzadko... gorejące ogniska.

Jeśli te płoną, czemuż tamtych nie możnaby rozpałić? Czy to ułuda?

Czy widzicie pożar, jaki rozgorzałby wtedy?

Chodzi tylko o rozdmuchanie tych iskieł

Jak to uczynić?

To pytanie zawiera w sobie wszystko. Od Jego rozwiązania zależy wszystko. To najważniejszy problem życia.

Jak wyzwolić najpotężniejszą z mocy, uspioną w głębiach serc ludzkich?

Kto szuka odpowiedzi na to pytanie?

Kto zdaje sobie z tego sprawę, że od tej odpowiedzi, od tego, czy ją znajdziemy i jaką, — zależy cała nasza przyszłość. — zbawienie lub zatracenie, — śmierć lub żywot...?

Jednośmy

W jednym przedziale wagonu kolejowego jedzie ze mną przez parę godzin towarzystwo nieznajome mi, rodzina z trójga osób złożona: ojciec, starszy już człowiek, córka jego i siostrzenica — młode dziewczyny. Wciąż żywo ze sobą rozmawiają — na chwilę usta im się nie zamykają. Ileż tematów nie poruszyli, najróżnorodniejszych! A widzieć, że dobrze im ze sobą, że lubią się wzajemnie.

Nie wmieszałem się do ich rozmowy ani słowem. Ale oni przecież czuli, mimo że książką się od nich odgrodziłem, że ich obserwuję, że interesuję się ich rozmową i że oni

sami podobają mi się. I to ich podniecało, do tem żywszej rozmowy pobudzało: chwilami jakby na mój benefis mówili.

Jakie to znane było i bliskie i swoje, to o czem rozmawiali, i uczuciowe do tego ustosunkowanie się!

Nie wiem nawet, jak się nazywają. A jednak — przekonany jestem — w każdej chwili mógłbym wejść do ich domu, w samo wnętrze ich rodziny, i odrazu smuć razem z nimi ich życie... Poczuję się wśród nich, jak wśród swoich — a i oni odrazu odczują we mnie kogoś sobie zupełnie bliskiego.

Różnice między mną a nimi?

Garść faktów życiowych... inne przeżycia, inne środowisko materialne... Ale to, co wewnętrzne, więc istotne: — pragnienia, dążenia, ukochania, wstręty, pojmowania, obyczaje, tradycje... i tyle, tyle innych rzeczy jeszcze, które składają się na człowieka — to jest w nas jedno i to samo.

Tak — absolutnie jedno i to samo, a naodwrot, tak nie nieznaczące to, co nas różni, iż doprawdy aż dziwne, aż straszne, że się nie znamy, a spotkawszy się dzisiaj w tym wagonie, że nie wyciągnęliśmy ku sobie dłoni na powitanie i nie zaspaliśmy się pytaniami o to, co interesuje, o to, co cieszy, i o to, co boli.

Ale przynajmniej krąży między nami nieustannie prąd mocny i ciepły, i oczy bez słów ze sobą rozmawiają i mówią: jednośmy!

I to jest właśnie ten wielki, wagi przeogromnej fakt, którego jakbyśmy nie dostrzegali — że ś m y j e d n o... Jedno ciało i duch jeden, którego każde z nas — osobnik ludzki — jest tylko częścią. I dlatego tak bardzo cierpimy,

że z tym faktem nie liczymy się i tak postępujemy, jakby go nie było.

Żyłemy dla siebie.

Miałoby to sens, gdybyśmy mogli na sobie wyłącznie się oprzeć i sobie samym wystarczyć.

To nie ma sensu, skoro pocucia wartości życia, więc szczęścia, doznajemy wtedy tylko, gdy bierzemy coś z życia innych albo gdy dajemy coś z życia własnego innym, gdy obcujemy, współżyjemy ze sobą... gdyśmy społecznością.

A to wszystko, to — różne formy jednego i tego samego: miłości.

Dwie dotąd trwałe instytucje zrodziła miłość: rodzinę i zakon. W nich dwóch tylko czuł się człowiek prawdziwie szczęśliwy. Bo w nich przestaje być celem dla siebie, — częścią służebną chce być całości, — poddaje się prawu miłości. Obie ikwatna, gdy członkowie ich prawu temu są posłuszni, wedle niego żyją. A wyrodnieją, gdy ojciec, matka, dziecko, a tam zakonnik, zakonnica — siebie, swego szczęścia szukają.

Odrodzenie ludzkości — w odrodzeniu rodziny i zakonu, to znaczy, w przywróceniu w nich panowania miłości, — i w promieniowaniu ich na całe życie społeczne.

Czy to utopia nigdy nieizszczalna...?

Tylko być posłusznym temu prądowi, dać mu się porwać... Za oczami niech idą serca... dłonie... słowa... uczynki...

Ciało społeczne

Rozwój cywilizacji współczesnej idzie w tym kierunku, iż wiąże ludzi coraz bardziej wzajemnej zależności. Coraz więcej potrzeb ludzkich — i to najważniejszych, elementarnych — jest zaspokajanych przy pomocy wspólnych urządzeń.

A gdy raz takie wspólne urządzenie jest stworzone, coraz trudniej jednostce dana potrzebę zaspokoić własnym staraniem, środkami w jej rozporządzeniu pozostającymi.

Tak jest z wodą, ze światłem, opałem, komunikacją, w coraz szerszej mierze z pożywieniem...

I podobnie dzieje się z potrzebami duchowymi: wiedzy, rozrywki... Szkoły, biblioteki, muzea, teatry, kina, radio...

Jak daleko już postąpiła ta organizacja urządzeń społecznych, jak ona jest skomplikowana, wszystko ogarniająca i tem samem niezbędna — stwierdziliśmy to my, którzy przeżyliśmy doświadczenia Wielkiej Wojny. Ona, to na olbrzymich przestrzeniach zniszczyła tę organizację, porwała tę sieć wzajemnej zależności, rozciągającą się po całej kuli ziemskiej.

Ile z tego zrodziło się niewysłowionych cierpień!

Trwają one i po dziś dzień i trwać będą jeszcze długo. Życia i trudu jednego pokolenia nie starczy dla odbudowy.

A wojna ta, i to, co po niej nastąpiło jest dowodem, że rozwój tej organizacji jest nieprzeparty.

Ku temu idziemy, iż się stajemy — całą ludzkość — jednym organizmem, jednym ciałem: był każdej jego części składowej — jednostki, rodziny, narodu — utrzymuje się jedynie dzięki nieustannym świadczeniom na jej rzecz całości, i odwrotnie, był tej całości nie do pomyślenia bez nieustannych świadczeń na jej rzecz każdej z jednostek.

Co nas czeka (u kresu tego rozwoju?

Czem będzie ten system zależności, już w pełni wykształcony?

Może być najstraszniejszym więzieniem.

Może być Królestwem Bożem.

Czy pierwsze będzie, czy to drugie — to zależy jedynie od tego, jaki duch ożywiać będzie owo dojrzałe ciało społeczne... albo, czy wogóle będzie w niem duch.

Jeśli to będzie duch zły — Zły Duch — to ludzkość, ujęta w wykończony ostatecznie system zależności, poczuje się w nim niewypowiedzianie źle i wyzwoli się z niego, musi się wyzwolić, aktem, czy aktami gwałtu. A to wyzwolenie będzie kataklizmem, jakiego dzieje nie znają dotąd: z cywilizacji, z dorobku wieków kamień nie zostanie na kamieniu.

A jeśli ducha nie będzie, skostnieje ludzkość, wyrodzi się w bezduszny mechanizm, stanie się może czemś podobnym do przeogromnego mrowiska. Nie będzie tam warunków istnienia dla człowieka-indywiduum, dla człowieka-duszy.

Musi więc być duch — Duch Dobry.

Lecz On nie pojawi się nagle, nie spłynie zgóry, nie będzie dany z zewnątrz: On musi się wykształcić stopniowo, zatem powoli w ciele społecznym. I ten wzrost Jego musi dotrzymywać kroku rozwojowi i dojrzewaniu tego ciała. Jak w każdym z nas, w człowieku-indywiduum.

Czemże On jest? Na czem polega Jego istota?

Odpowiednikiem wewnętrznym tego, co się dokonuje w sferze zewnętrznej:

Uzależnieniu się wzajemnemu zewnętrznemu musi odpowiadać uzależnienie wewnętrzne.

Dusze ludzkie muszą wychodzić ze swego odosobnienia, ciężać ku innym duszom, połączyć się cząstkami jednej powszechnej duszy.

I to nie tylko dusza jednostkowa. Ale i duchy rodzin, narodów.

Dusza ludzka, nie tracąc swej odrębności — wręcz przeciwnie — wzmagając się i potężniając w swej osobowości, przesyć się musi pierwiastkiem społecznym i — w tem jedynie znaczeniu — przerodzić się z dzisiejszej indywidualnej, dośrodkowej — w jutrzejszą odśrodkową, społeczną.

Co to za pierwiastek?

Różne dają mu miana. W terminologii kościelnej zwie się — Caritas.

Ostatecznie wykształcone, dojrzałe ciało społeczne żyć będzie życiem pełnem, zdrowem, wewnętrznie zharmonizowanym — gdy ożywiać je będzie duch Miłości.

Rozwój współczesny dlatego zatrważa, że społeczeństwu ludzkości w jej życiu materialnem, zewnętrznem, nie dotrzymuje kroku społeczeństwo wewnętrzne.

Już ogromnie posunięty naprzód proces przekształcania się naszego w komórkę ciała społecznego, a dusze nasze — z jakże nielicznymi wyjątkami! — pod wyłączną władzą egoizmu.

Do czego doprowadza niezgodnienie obu pierwiastków — materialnego i duchowego — rozdźwięk w ich rozwoju, widzimy na Rosji.

Aktami fizycznej przemocy przeskoczono stąd rozwój społeczny materialnego: wszystko niemal osiągnięto, co było do osiągnięcia w tym kierunku w tej chwili dziejowej.

A równocześnie nietylko nie dostosowano duszy do tego stopnia społeczeństwa zewnętrznego, lecz wręcz przeciwnie, uczyniono wszystko, co było w mocy ludzkiej, by ją upodobnić do bestji, samopas żerującej w pierwotnej puszczy.

Toteż Rosja jest krainą niezmiernego cierpienia.

I niema człowieka, któryby nie wąpił, że to, co tam jest, trwać nie może — musi się zawalić.

Czy nie umyślnie przez Boga zesłane doświadczenie dla pouczenia nas, że bez ducha Miłości współzycie — niemożliwe.

M O C

Nastroje

Wielostrunnym jesteś instrumentem:

Żywy to instrument, co grać musi, gra ciągle, aż do chwili skomania, bez przerwy... Nikt, — ani ty, — milczenia mu nie nakaze. Bo fale życia wciąż przez niego przepływają i uderzają o struny.

Nienastrojony twój instrument: zardzewiałe, splątane struny. Nie śpiewają, nie grzmą, nie pieszczą. Lecz jęczą to zgrzytają. A najczęściej brzęczą monotennie, bezmyślnie.

I tobie tak źle i innym z tobą.

To przypadek, jeśli czasem z rozdźwięku i fałszu wybicie ton czysty. Daje ci przedsmak, czym byłbyś dla siebie i innych, gdybyś chciał mieć moc.

Odkrywa ci cud i czar utajony.

Idziesz niedzami wśród pól... ścieżynami w gaju brzozywym. Wzgórza ci świat przysłaniają. Odcięty jesteś od niego, sam z ziemią i niebem. Skądś lecą tylko ścisłe głosy wioskowe... dudni gdzieś most pod kołami... bępcze woda na roli wiosennej...

Idziesz wolno, woddychasz głęboko, wchłaniasz w siebie tę ciszę. Serce ci równo bije w takt tętna wieczoru przedwiosennego.

I nastrajać się w tobie zaczynają struny twej duszy... Płynię z nich pieśń niewysłowiona pokoju, radości, uwielbienia.

Nie tyś jej twórcą, lecz przypadek: przechadzka zderzyła cię z falą z ziemi płynącą. I nausiałeś oddźwięknąć to-nem pięknym, bo nie wszystkie jeszcze struny Bożego na-rzędzia w tobie popsute.

Ale za chwilę wrócisz między ludzi..., zobaczysz lub usłyszysz, co nie będzie po twojej myśli: i natychmiast powstanie rozstrój..., brzęczenie zaczętniesz wielomównie, nieznośnie.

I znowu przypadek zderzył cię z inną falą, od ludzi idącą.

I tak ciągle...

Na łasce jesteś nastrojów i rozstrojów. Głębokie, trwałe, niszczycielskie rozstroje. Nastroje nieuchwytnie, bezśladne.

W cudnym Bółym instrumencie strun coraz mniej: jedna po drugiej pęka rdzą przegryzioną... bezbożną ręką zerwana.

Czasem ostatnia struna zerwana, choć człowiek jeszcze żywy. I chodzą ludzie tacy, — trupy, w których nie ma co już nawet płakać.

Wyzwól w sobie moc, którą masz.

Godzina po godzinie, dzień po dniu cierpliwie rozplątaj struny powikłane, oczyszczaj je z rdzy i brudu, nastrój je... ciągle, wytrwale nastrajaj.

Wtedy — bądź pewny — fale życia zzewnątrz płynące — z ziemi, z nieba, z ludzi, — czy zewnątrz, z jestestwa twego, już nie dobędą z ciebie fałszu.

Cokolwiek o pierś twoją uderzy, — czy radość czy cierpienie, czy dobro czy zło, czy burza czy cisza, czy nadzieja czy zwątpienie, — ty odzew dasz czysty, pełny, piękny.

Zaniedbana sztuka

Czyn ludzki... czyż on nie może być, czyż nie bywa takimże tworzywem dzieła sztuki, jakim jest glina dla rzeźbiarza, dźwięk dla muzyka, słowo dla pisarza...? Wiedzimy przecież czasem ludzi, którzy, mając przed oczyma, — jak tamci, — wielki, cudny Ideał, wcielają go patchnionym a niestrudzonym trudem w czyn własny... z życia swego tworząc posąg i pieśń. Czyż go także nie artyści? Mistrze przedziwni, co żywe tworzą posągi i pieśni. A życie tworząc, najbardziej się zbliżają do jedynego, wszystkim wspólnego Ideału.... najbliżsi są Boga.

Dlaczego w służbę tej sztuki, — z pięknych najpiękniejszej, — tak mało się uczniów zaciąga, gdy w służbę tamtych takie ogromne cisną się zastępy, a wśród nich — tak wielu niepowołanych?

Żadna nie daje tak wielkiej szczęśliwości, jak ta, najwyższa.

Czytajcie żywoty tych, co zupełnie jej się poświęcili, śledźcie życie tych nielicznych, którzy śladem tamtych dzisiaj wąż się postępować. Szczęście ich tak wielkie, mocne trwałe, że nic nim zachwiać, ani go zniszczyć nie może: ani nędza, ani choroba, ani cierpienia, ani śmierć nawet.

I nietylko temu daje szczęście, który ją uprawia, ale wkoło je sieje. Dokąd sięgają jego czyny... dokąd wieść o nich dojdzie, aż tam szczęście rozkwita. Żadnej służba nie jest tak szczerze wynagradzana, jak ta, byleby służba była wyłączna, wierna aż do śmierci.

Imiona Mistrzów jej poprzez wieki czczone są, miłością, kornem uwielbieniem otoczone. Posągi ich na ołtarzach stoją, a ludzkość przed nimi klęczy.

Zwaj ich świętymi.

A Mistrz jej największy, — pierwowzór niedościgły, — część boską wiek już dwudziesty odbiera i nazwan jest Bogiem-Człowiekiem.

Trudna to niezmiernie sztuka.

I w każdej innej poprzez móżół twardy wiedzie droga do doskonałości: każdy krok na niej okupiony walką z oporną materją... A tu łamać się trzeba z tem, co najtwardsze... ze sobą.

Czy i tu potrzeba talentu... łaski?

Gdyby inaczej było, czy spotkalibyśmy świętość wśród nędzy poddaństwa, ciemnoty, występku? Gdyby inaczej było czyż nie byłoby jej więcej tam, gdzie wszystko zdaje się sprzyjać życiu wedle Boskiego wzoru?

Lecz to nie wszystko.

I tej sztuki trzeba się uczyć, jak każdej innej. I tu trzeba nauczyciela.

Jakoż i dla niej istnieje Szkoła... jedyna, odwieczna, powszechna.

Był czas jej rozkwitu, kiedy uczyli w niej Mistrze nierównani. Uczyli słowem natchnionem... ale i czynem świętym. W on czas tłumy uczniów ją wypełniały, zastępy mistrzów z niej wychodziły.

Był czas...

Lecz czy się nie mylę?

Są święci... Tylko ja ich nie widzę, dojrzeć nie mogę.

Bo oni kryją się ze swem dziełem. Życia swego na pokaz nie wystawiają.

Są cisi i pokorni. W odróżnieniu od tamtych, którzy szukają rozgłosu i chwały.

My i dzieci

Słyszysz się ciągle zdanie: Niema się co zajmować starzami: szkoda czasu! To już pozycja stracona. Z nich już nic nie będzie. Oby jaknajprędzej wymarło to stare pokolenie, w niewoli zrodzone i wychowane, więc chore nieuleczalnie i kalekie.

Oby w jego miejsce jaknajprędzej weszło nowe, ludzi wolnych, dzieci naszych. Ich tylko wychowaniu warto się poświęcić. Tutaj skierować trzeba cały wysiłek. Tutaj w pełni on się opłaci.

Co to za złudzenie! Jakiż błąd?

Jeśli zajmujemy się wyłącznie dziećmi, przyszłością, a siebie, teraźniejszość, naboku zostawimy, to nie osiągniemy nic, to zbankrutujemy.

A to z tej przyczyny, że przy wychowaniu pozbawimy się najskuteczniejszego, a może jedyne go naprawdę skutecznego środka wychowawczego, — przykładu.

Nie książka, nie lekcja, nie kazanie wychowuje, ale życie społeczne: cały ten skomplikowany splot stosunków społecznych, który każdego z nas osnuwa od maleńkości. Dziecko, młodziuteńkie patrzy, słucha, podpatruje, podsłuchuje i naśladuje, przystosowuje do tego, co widzi i słyszy.

Choćbyśmy nie wiem jak piękne książki do rąk mu wtykali, choćbyśmy paśli go najwznioślejszymi naukami w domu, w szkole, w kościele, — będzie samolubem, próżniakiem, kłamcą, rozpustnikiem, spekulantem, prawo i wiarolomą, jeśli będzie widział nas starszych w domu, na ulicy, przy warsztacie pracy.. jak psy go gnat gryzących się, w pogoni za zyskiem gotowych popełnić każdą nieczemność, trawiących życie na gadaninie, prawa ojczyste łamiących..

Jakimże cudem ma się stać, że dotąd źle będzie, a odtąd — dobrze, że do trzydziestego bolesna będzie terazniejszość, a od pierwszego — promienna przyszłość?

Czegoż my żądamy od dzieci naszych? Jakiegoż bohaterstwa, mocy! Jakiegoż wysiłku!

Lepiej się nigdy niestanie. Lepiej może tylko się stać, a to powoli, stopniowo, latami, dziesiątkami lat. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z roku na rok, — trwałym i wytrwałym, uporczywym, cierpliwym wysiłkiem każdego z nas. Na starszych przede wszystkim. A za nami dopiero dzieci naszych: najpierw starszych, potem młodszych, aż do tych małych.

Łańcuch utworzyć się musi z ludzi, co się wzajemnie wspierają, zachęcają, podciągają, podnoszą. A króć na czele, jeśli nie my — najstarsi?

Ojcowie naprzód! Wtyle dzieci!

My im musimy drogę pokazać i utorować. Bo ona stroma, stopy nieraz krwawiąca.

Dopiero, gdy nas zobaczą pnących się, walczących z przeszkodami, dopiero skoczą za nami, dźwigać się razem z nami będą. Z błota na grunt twardy. Z dołu na szczyty.

Mamy prawo żądać od dzieci mocy i doczekamy się jej, jeśli sami pełni uczynimy wysiłek, by stać się mocnymi.

Co za naiwność przypuszczać, że one choć krok ruszą naprzód, jeśli my pozostaniemy na miejscu!

O wlosz twoje dzieci nie będą lepsze, jeśli ty nie stajesz się lepszy, a raczej, jeśli one nie zobaczą, że ty chcesz być lepszym, usiłujesz nim być, walczysz o to ze sobą.

Terazniejszość trwa wiecznie. Przyszłość rodzi się co chwila. I ty, starcze, jesteś przyszłością, jeśli idziesz naprzód i własnym trudem i przewyciężeniem torujesz drogę wnukowi. A on, wnuk twój, jest już terazniejszością, gdy stopy swoje małutkie stawia w twoje ślady.

Nie ma wychowania dzieci bez dochowania siebie samych, rodziców. To jest pewnik.

Jeśli go nie rozumiemy, nie przejmujemy się nim, nie zaczniemy wcielać go w życie, — jutro nie będzie nigdy lepsze od dzisiaj.

Niemni świadkowie

Pisano nam ze wsi: „Proboszcz opowiada, że pobyt Wasz tutaj zeszłoroczny więcej dobrego zdziałał, niż 20-letnie jego pasterzowanie...”

A wnet potem on sam potwierdził to w liście do nas:

„Szczerze wyznaję, iż bytność dłuższa Państwa wielce ułatwiała mi pasterzowanie. Jednakże i ten krótki pobyt nie pozostał bez skutku...”

A gdy przy spotkaniu jeszcze raz wrócił do tego samego tematu, zapytałem go:

— Cośmy właściwie zrobili? To jedno, że często, w dni powszednie, chodziliśmy z dzieckiem na mszę i przystępowaliśmy do Komunii świętej... Korzystaliśmy z bliskości kościoła. To takie proste i naturalne.

— Otóż o to właśnie chodzi, żeby czynić to, co jest, a właściwie powinno być najprostsze i najnaturalniejsze.

Przykład taki więcej znaczy, niż wszystkie słowa i nauki moje na ambonie. I te słowa ileż większy mają walor teraz, gdy powołać się mogą na ten przykład, który oni widzieli własnymi oczyma.

Doprawdy daleka od nas była myśl jakiegoś oddziaływania, propagandy, kiedyś na odgłos dzwonu kościelnego szybko się zbierali i w słiczny poranek letni z radością w sercach śpieszyli na mszę świętą. O sobie tylko myśleliśmy. Potrzebę własnych serc tylko zaspokajaliśmy... Kościół był

prawie pusty. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że śledzą nas, podpatrują, o postępowaniu naszym mówią, w pamięci zapisują, wnioski wyprowadzają...

Jakże głęboko rozradowały nas i wzruszyły słowa księdza!

Trzeba nam odtąd na chwilę nie zapominać o tych oczach, dla nas niewidzialnych, a które nas widzą, każdy nasz uczynek śledzą i podpatrują, — o tych za węglami ukrytych widzach i świadkach, którzy wedle tych uczynków swoje pojęcia urabiają, swoje życie kształtują.

Więc każdy taki uczynek może być źródłem zgorszenia i rozstroju, albo też — zbudowania i zestroju.

To trudno i darmo

D. spełnia swoje obowiązki uczciwie, pracuje sumiennie — jest dobrym mężem, ojcem, panem, gospodarzem, — czyni razem z żoną dużo dobrego wkoło siebie, ile może...

Ale przytem zdaleka trzyma się od religii i kościoła — z całym należnym respektem, ale zdaleka... nie praktykuje.

Życie długie już ma za sobą, a dotychczas słało mu się ono na różach: był i jest szczęśliwy. Nie zaznał nigdy dotychczas prawdziwego cierpienia. A tacy ludzie nie szukają zwykłe Boga.

Głos wewnętrzny nie prowadzi go do Boga. Mogliby to zrobić katolicy. Ale tylko wtedy, gdybyśmy go pociągnęli ku sobie, gdybyśmy mu coś takiego dać mogli czego on nie ma, gdybyśmy mu czemś imponowali...

Czy to jest możliwe?

Iluż wśród nas jest takich, których życie jest w jawnej sprzeczności z zasadami, które wyznajemy i głosimy, których uczynki są małe, nędzne, a czasem nikczemne... a któ-

rzy równocześnie firmowymi są Katolikami, narzucają się wszędzie tam, gdzie jest oficjalna, publiczna robota katolicka...

Weźmy tych jednak nabok!

Ale reszta? Ta reszta, która jest przeważającą większością?

Czem się ona wyróżnia? Jakie odrębne, twórcze wnosi pierwiastki w życie społeczne?

Ludzie uczciwi... tak, uczciwi i poprawni... szarzy i przeciętni...

Gdzie są wyjątki? Ileż ich jest?

I patrząc na nas, — tak beznadziejnie przeciętnych — a równocześnie gorliwie praktykujących, — przystępujących do sakramentów modlących się po kościołach, działających w przeróżnych organizacjach, taki D. powiada, jeśli nie wyraźnie, to półśłówkami, spojrzeniem, napoty lekceważącym, napoty pobłażliwym:

„Nie robię gorzej ani mniej od was i do tego niepotrzebna mi jest cała ta wasza „mistyka"... Możecie słabsi, iż potrzebujecie do tak zwykłych, normalnych świadczeń tak kunsztownego i skomplikowanego aparatu pomocniczego. Ja obywam się jakos bez niego i... (dobrze mi z tem!"

Inaczej mówiłby, gdyby widział tego katolika, odcinającego się na szarem tle powszechnej przeciętności wielkością ducha, głębią, żłarem serca, zdolnością do zaparcia się, służbą ofiarną, przepojoną miłością, a może jeszcze... poświęceniem, bohaterstwem.

I wtedy musiałoby się narzucić mu, jako człowiekowi dobrej woli, pytanie: dlaczego tamtem robi lepiej i więcej ode mnie? — i musiałby się przedzej lub później natknąć na Boga, i nie mógłby dalej żyć w tym stosunku obojętnym, czy nawet lekceważącym do Niego i do Kościoła.

To trudno i darmo! Słowa to są Chrystusowe: „Bądźcie doskonali, jako doskonały jest /wasz Ojciec”.

I treści i znaczenia i wagi tych słów nie da się ani przeinaczyć ani osłabić żadnym kunsztem interpretacyjnym. Można je tylko i trzeba brać takimi, jakimi są: dosłownie i prosto.

Trudno i darmo! Musimy być doskonali, jeśli Kościół ma się rozszerzać, świat brać we władanie. Organizacje katolickie i prasa katolicka, zgromadzenia i manifestacje, procesje publiczne... dobre są, potrzebne, a nawet konieczne. Ale nie wstarczają. Są zawsze dodatkiem. Główna rzecz, to — doskonałość, dążenie do doskonałości każdego z nas, wyznawców Chrystusa, członków Kościoła Powszechnego.

Kościół wciąż to przypomina, nieprzerwanie naucza tego i z katedry i z ambony, i w konfesjonale i w druku... Ale my wciąż o tem zapominamy.

Zapominamy, a raczej spychamy z myśli tę prawdę zasadniczą a niezmiernie prostą, że Zakon Nowy jest bezwzględny, że nie zadowala się surogatami, — poprawnością i przeciętnością, — potępia oportunizm, piętnuje „letniość”... przyniósł miecz i ogień.

Krótko: świętości żąda od każdego z nas.

„Fabryka Sakramentów”

Jest w Sakramentach Świętych moc nadprzyrodzona, niezależna od wartości człowieka, który ich udziela, byleby miał do tego uprawnienie — i niezależna od wartości człowieka, który je przyjmuje.

To jest prawda dana nam do wierzenia.

I oto, tak ona w nas przeniknęła, że nie ma już istotnego dla nas znaczenia pytanie, kim jest, jak żyje ten, który daje Sakrament, jak i ten, który do niego przystępuje.

Przedewszystkiem chodzi o te dwa Sakramenty, które są naszym chlebem powszednim: o Sakrament Pokuty i o Sakrament Ołtarza.

Kapłan z mocy otrzymanych święceń, przekazanej mu władzy, ma moc odpuszczania grzechów i moc przeistaczania chleba i wina w Ciało i Krew Boga-Człowieka, byleby przytem przestrzegał przepisane go rytu. Jak on zaś żyje, to jest dla rzeczy samej obojętne. To jest sprawa pomiędzy nim a jego zwierchnością, między nim a Bogiem: w swoim czasie będzie za to odpowiadał. Choćby był jednak najgorszy to nie oddziaływa na jego moc: nie odbiera mu jej, ani mu jej nie umniejsza.

A ja mogę żyć także najgorzej. Skoro jednak w pewnej chwili uklękę w konfesjonale, wyznam spowiednikowi swoje grzechy, zdobędę się na akt skruchy i wypowiem słowa żalu, a potem przystąpię do Komunii, — to mogę być spokojny: na daną chwilę wszystko jest w porządku. Moc nadprzyrodzona Sakramentów swoje zdziałała: przeszłość jest zlikwidowana. A co do przyszłości?

...Kościół jest przecież w pobliżu...

Mówię o masie wiernych praktykujących, o przeważającej wśród nich liczbie.

Widzę masy ludzi, przystępujących do ołtarza... Narzuca się myśl: jakież to wysoki poziom religijności! jak tu po Bożemu ludzie żyć muszą!

A czy tak jest istotnie? Bynajmniej.

Dlatego właśnie, że wyłącznie niemal liczę na cudotwórcze działanie Sakramentów, a zapomnieli o konieczności równoległego współdziałania z niemi własnej woli.

Kościół zamienił się jakby w ogromną fabrykę środków nadprzyrodzonych. Sakrament jest w rozumieniu naszym lekiem i pożywieniem, działającym niezawodnie przy minimalnym udziale naszej woli... prawie że niezależnie od naszej woli.

I w tem znowu przejawia się materializm współczesnego człowieka: przerzuca w sferę życia duchowego te same kabegorje, z którymi tak się żył i z którymi tak mu dobrze w życiu fizycznym. Ot... spraw sobie tę maszynę, naley do niej benzyny, naciśnij właściwą korbę i... już jedziesz po drodze albo lataasz w powietrzu. Taksamo i tutaj: wypowiedzcie, i ty i ksiadz, rytualne słowa, zróbcie przepisane gesty, na tę jedną chwilę podciągnij podyktowane przez modlitewnik myśli, wysił się na przelotny akt woli... moment wzruszenia... i już łaski dostąpiłeś.

To jest cud. Ale i tamto czyż nie jest cudem? A pomimo to łaska nadprzyrodzona wciąż się przejawia, działa przy każdym konfesjonale i przy każdym oltarzu.

Dość sobie uprzytomnić, co by było, gdyby opustoszały nagle kościoły, gdyby przestano odprawiać Ofiarę na oltarzach...

Ale łaska nie przejawia się z tą nieskończoną mocą, jaka jest w niej utajona, nie wywiera tego przepotężnego, nieorganionego działania, do jakiego jest zdolna. A to się dzieje, bo nie współdziałamy z nią, bo wyłącznie się na nią spuszczamy, nie chcąc zrozumieć, że ona jest bezsilna nietylko przeciw nam, lecz i bez nas.

Tak.

Chrystus wszedł do mojej piersi i przebywa w niej z całą Swą Bożą mocą. Lecz jakże może się Ona objawić? Jedyne przez moją wolę i przez moje uczynki, prostując ich kierunek, potęgując ich działanie. A ja tymczasem trwam w mem życiu duchownem z założonemi rękoma... dalej postępuje marnie, nędznie, plugawo...

I cóż się stanie? Co się stać musi?

Już Go niema. Był... ale odszedł. Już po krótkiej chwili nie jestem domem Bożym, ale śmietnikiem.

Tak.

W tej chwili dokonało się na oltarzu przeistoczenie chleba w Ciało Chrystusowe.

On tam — Bóg-Człowiek.

Ale czem jest ta ofiara, odprawiona przez księdza-urzędnika... a czem może być i bywa wtedy, kiedy ją składa kapłan prawdziwy, sługa Boży. Jakie obcowanie między temi dwiema duszami. Bożą i ludzką.

Jaka fala przeogromnych wzruszeń płynie wtedy od oltarza, ogarnia rzeszę skupioną u Jego stóp... porывa, przygarnia do niego.

Dzisiaj zacznijcie !

Ktokolwiek wstąpił na służbę Bożą, wszedł na drogę pracy wewnętrznej, — a wszedł na serjo, cofać się nie chce i już nie może, — ten wie, jak ciężka to droga i twarda i długa... I wie, że u jej kresu, póki tego życia, — nigdy nie stanie.

Piąć się trzeba nieustannie... gdy na szczyt się dźwigniesz, w tejże chwili odsłania ci się za nim nowy: jeszcze piękniejszy.

Kresem jest doskonałość.

A nikt lepiej nie wie, niż ci, których nazywamy świętymi, jak wyniosłe i niedostępne są te szczyty, które oni dostrzegają i ku którym ich serca porывają się z niewysłowionem utęsknieniem... w chwili konania... po przebyciu tak wielkiej drogi, po zdobyciu tylu szczytów, po pokonaniu tylu przeszkód.

I nikt lepiej od nich nie wie, ile szczęścia, niezmaconego niczem, niezatartego czasem, — w świadomości już przebytej drogi, już stoczonych walk, już odniesionych zwycięstw...

I ile go jest w tem ciągłym odkrywaniu nowych szczytów, — nowych, coraz rozleglejszych i piękniejszych widnokręgów, — w tem zaciętem, nieustępliwem parciu wzwyż, w pożądaniu i utęsknieniu, wciąż rosnącym, za jeszcze wynioślejszem, jeszcze szczytniejszem... jeszcze bliższem... Najwyższego...

A ktokolwiek to przeżywa, — przeżywać bodaj zaczął, — ten z żalem zwraca się ku własnej przeszłości i czyni sobie wyrzuty:

— Czemu tak późno wszedłem na tę królewską drogę? Ile już dalej byłbym dzisiaj na niej! Ile wyżej wspiałbym się gdybym młodości nie roztwoił na manowcach i bezdrożach mizyjnych, i do pokonywania szczytów miał młode, niezżyte serce, — polot młodzieńczy myśli, — moc i tę żywną młodzieńczą wolę!

I ten chciałby się zwrócić do młodych z takim serdecznym, gorącym wołaniem:

— Wzniescie oczy wgórę! Dajcie wzlecieć myśli! Dajcie rozgorzeć sercu! Teraz zaczynajcie. A dojdziecie tam, dokąd nam już sił nie starczy. Tyle dalej... tyle wyżej... byłobyście zaraz, dzisiaj zaczęli...

Dzieło życia

Każdy ponad wszystko pragnie szczęścia. A tworzyć, — czyż nie jest najwyższem szczęściem człowieka?

Twórcy — wszystko jedno, na jakim polu, — są przedmiotem największego uwielbienia ze strony innych ludzi. Poeci, kompozytorzy, wynalazcy, budowniczowie państw; założyciele religij, reformatorzy społeczni... Ci, co obdarzają ludzi nową myślą, czynem, pieśnią... jakimkolwiek dobrem, co życie wprowadzają na nowe tory i nowe otwie-

rajają mu widnokregi; nowe, choćby najmniejsze, wnoszą w nie wartości.

Najszczęśliwszą chwilą swego życia nazwiesz tę, kiedyś coś stworzył. Wszystko jedno, — co.

Dziecko, które samo skleja sobie nową zabawkę przeżywa to samo zachwycenie, tak samo bezgranicznie jest szczęśliwe, jak musiał nim być twórca zwyczajstwa Francji w owe niezapomniane dni listopadowe, dni dokonania się tego zwyczajstwa.

O wielkości szczęścia stanowi nie wielkość rzeczy stworzonej, lecz sam akt twórczy. Małą duszę dziecięcą tak samo po brzegi wypełnia i rozpiera ognem szczęścia spowodu stworzenia drobiazgu, jak duszę wielką w chwili, gdy życie daje dziełu wielkiemu. Co się zresztą ostoi i postanie wobec próby czasu? Pojemnością, głębią duszy tworzącej mierzyć trzeba wielkość jej dzieła i wielkość odczuwanego przez nią szczęścia. Gdy ono ją przepelnia, — jednak jest szczęśliwy i genjusz i malarzki człowieczek. Oba ją dźwignęli się na najwyższy szczyt, którego mógł osiągnąć każdy z nich wysiłkiem swego ducha.

Lecz jeśli to prawda, że największe szczęście człowieka jest w tworzeniu i to nie tylko w chwili narodzin dzieła, lecz w samym akcie twórczym, nawet w bólach porodu, — nie zaprzeczy temu, kto choć raz w życiu czuł w swej duszy ciepło tlejącej iskry Bożej, — jeśli to jest prawda, to czemu, zamiast starać się i troskać o wiele, nie wyteżymy wszystkich sił, by odnaleźć w sobie tę iskrę, a odnalazszy, — rozdmuchać ją, rozjarzyć, rozpalic? Czemu w tem nie dopomagamy kochanym, których szczęścia pragniemy, a więc przed wszystkimi — dzieciom naszym? Czemu w życiu społecznem, przy jego organizowaniu, doskonaleniu, nie kieruje nami przed wszystkiemi ta myśl, by w duszach ludzkich rozwijać to nade wszystko, co budzi w nich, rozwija, wzmacnia twórczość?

W przyrodzie pracują potężne siły. Ludzkość ogrom wysiłku poświęca, by ująć je, opanować i na swój pożytek skierować. Żadne czasy tyle w tym kierunku nie zdziałały, tyle triumfów nie święciły, co nasze czasy. Coraz gęściej pokrywają ziemię zbiorniki materialnej energii twórczej, skąd do najodleglejszych, najmniejszych zakątków płynie światło, ciepło, siła — a z niemi do siedzib ludzkich spływa dobrobyt.

Zaprzągnięta tym ogromnym wysiłkiem, w jeden cel zapawiona, zdaje się ludzkość jakby nie widzieć tych innych sił przeobrzymich, w niej samych tkwiących, — w duszy człowieka, — sił od tamtych o wielekroć mocarniejszych, nieśmiertelnych. Śpią one w milionach i milionach dusz ludzkich. I nie ma komu ich rozbudzić, ująć, pełnać do działania twórczego...

Staje mi przed oczami postać tego człowieka, który życie swoje całe poświęcił wielkiej sprawie opanowania wód. Zaczął z paroma ludźmi. Po latach niewiele stał już na czele potężnej instytucji, armii robotników i nie do poznania przeobraził całe połacie kraju: tam, gdzie doniedawna powódź rok rocznie niszczyła dziesiątki wiosek, dzisiaj rolnik bezpiecznie zbiera bogate plony; a ta rzeka, która ongiś burzyły tylko umiała wiosennymi falami, dzisiaj jest niewyczerpanym źródłem energii, zasilającym rozległą okolicę... a ta inna, — niegdyś płytka, kręta rozlana w trzęsawiska i mokradła, — dzisiaj niesie tratwy, jest niezbędnym ogniwem w wielkim łańcuchu dróg wodnych... u jej brzegów ścielą się żyzne niwy, łąki, pastwiska.

Stałem przy nim kiedyś nad brzegiem rzeki jego ojczystej: u stóp naszych kołysał się na wietrze łan pszenicy — tam, w tem samym miejscu, gdzie przed tak niewiele laty było tylko pustkowie dziko obrosnięte sitowiem, wyrw pełne i bajór... Patrzałem w jego oczy: jaka dumna z nich biła radość! Zdały się wołać: oto moje dzieło! Ja to stworzyłem tę glebę rodzącą! Ja ten chleb dałem braciom moim.

Czy się znajdują ludzie, którzy z tą samą myślą, z tym samym celem pójdą między dusze ludzkie?

Dziś one, te wody nizinne, rozlane w trzęsawiska jałowe... suchnące, — jak łowe potoki górskie, zrywają się po to tylko, by niszczyć.

Przejdźmy wioski nasze, osady, miasta... Ile energii duchowej, mocy twórczej marnieje wciąż w nas i dokoła nas! Ile dobra i piękna na świat spłynęłoby, gdybyśmy chcieli wydobyć ją z dusz naszych i pełnać do dzieła!

Jakże inaczej światby wyglądał! Ileż bliżsi byłibyśmy Królestwa Bożego!

Wmyśl się w to... wczuj...

I zwróć oczy wtedy ku sobie, w głąb siebie...

Jesteś dzieckiem Boga-Twórcy. Nosisz w sobie cząstkę Jego istoty, drobinę Jego mocy Twórczej. Zadaniem więc twojem jest tworzyć, przeznaczeniem twojem — współdziałać w Jego Dziele.

Wsluchaj się uważnie w duszę swoją...

Ona ci powie, co masz czynić, do jakiego dzieła tyś powołany. Nie możesz się pomylić. Bo gdy dotkniesz się zadania, przeznaczonego ci przez Boga, zaraz poczujesz w sobie przeźródło ciepła i rozjaśnisz się. A przeciwnie, chłód i ciemność będą w tobie, gdy czynić będziesz nie to, co on ci nakazał, lecz — to, co ci okoliczności narzuciły, na bezdroża wiodąca miłość własna, złe pojęty interes własny.

A gdy raz po tych znakach rozpoznasz powołanie swoje, pełnij je, rób swoje stałe, nieubłagane, bezwzględne, bez względu na trudności, ofiary, upadki. Z całego życia swego uczynj jeden akt twórczy, dzieła budowanie. U kresu musisz znaleźć znajdziesz szczęście.

Nie mów: za późno! Ileż to razy powiadamy sobie: nie dla mnie to już! już brak mi czasu!... A potem lata upływają

i nagle, oglądając się za siebie, z przerażeniem stwierdzamy, że był czas, że mogliśmy dokonać tego, co wtedy zdawało się niemożliwe już do spełnienia. I rozpacz nas ogarnia... Lecz zamiast rozpaczać, powiedz sobie: teraz, właśnie chwila ostatnia, by rozpocząć. I rozpoczynaj natychmiast. I czyn z takim spokojem i ufnością, jakby przed tobą całe życie było..., wieczność cała. Wraz z pracą twórczą zstąpi na ciebie radość życia. A ona czyż go nie przedłuża?... Nigdy nie jest zapóźno! Nawet w chorobie, w niedostatku, nawet w starości

Niemasz większej zbrodni nad tę, gdy dopuszczamy, by zgasła w nas iskra Boża. Ostatniem technieniem winniśmy ją jeszcze rozjarzać.

Rozejrzyj się wkoło. Śledź podpatruj ludzi.

Wszyscy zgorzkniali, zniechęceni, ci, co „czas zabijają”; i te automaty ludzkie, bankruci życiowi jawni i wstydliwie ukrywający swoje bankructwo, — to są winowajcy, którzy dali zgasnąć w sobie płomieniowi Bożemu, — których dusze są już tylko wygasłym, zimnem popieliskiem. Albo nieszczęśliwi, którym nikt oczu nie otworzył, którym nikt dłoni nie podał.

Więcej nieszczęśliwych, niż winowajców.

A tamci: jasni, bujni, tętniący radością życia i dookoła ją rozsiewający, to — wierni swemu powołaniu, to twórcy, których dusze goreją Bożym płomieniem.

Takim, szczęśliwym chcesz widzieć dziecko swoje. Więc ucz je, — przede wszystkim czynem je ucz, niestrudzonym trwaniem przy własnym twiem dziele, — że żyć — to znaczy: tworzyć, dzieło budować. Spełnisz całkowicie wobec dziecka obowiązek swój wychowawcy, gdy mu pomożesz w poznaniu siebie, swiego powołania, gdy wesprzesz je tam, gdzie własne siły mu nie starczą, — zachęcisz, zagrzejesz...

Kiedyż podamy sobie ręce dla wielkiej sprawy wyzwolenia w człowieku lutajonej w nim mocy twórczej?

Rodzina, szkoła, Kościół...

Czy widzicie obraz ziemi, gdy działać będą i współdziałać te siły, płynące z milionów... milionów dusz, obok tamtych, których źródłem przyroda...?

Ofiara

„który się począł z Ducha Świętego, narodził się z Marii Panny, umęczon..., ukrzyżowan, umarł i pogrzebion...”

Z całego życia na ziemi Boga-Człowieka tyle tylko jest nam do wiary dane. Pozatem — nic. Żadnych zdarzeń. Ani słowa nawet o Jego nauce!

Pomyśl: o Jego nauce!

Rzeczą jedyną daną nam do zapamiętania z tego życia, to — czyn Jego ofiarny, poddanie się męce i krzyżowi.

O wszystkim innym, co się działo między chwilą Narodzin a godziną Śmierci, o tych trzydziestu trzech latach najświętszego życia — nic... milczenie.

Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie — to już fakta z tej drugiej, Bożej, — a nie ludzkiej, — dziedziny bytu Człowieka-Boga.

Ale ten ludzki odcinek życia Chrystusowego wypełnia jedno tylko: Ofiara.

Między kolebką a grobem — Golgota.

Uświadom to sobie:

Istotą życia człowieka Boga-Człowieka była ofiara. To artykuł Wiary.

Ale to zarazem przykazanie:

Istotną treścią twego życia winno być cierpienie dobrowolnie przyjęte z miłości... ofiara. — i ona tylko, — jeśli synem Bożym chcesz być, synu człowieczy.

SPIS TREŚCI

IEST...!

	Str.
Podniesienie	3
O wszystko	6
Służba Boża	8
Niezmienność	9
Credo	10
Cuda	12
Świętość	14
O jedno tylko	15
„Oczy ich na uwięzi”	16
Przyłączyłeś się do mnie	17
Spróbuj... Odważ się!	19
Wstyd	20
Zły	22
Bylebyś ufał	24
W poszukiwaniu	25
Znak Krzyża	25
Imię Jego	27
Krzyż	28
Anioł Pański	29
Trzeba to brać na serjo!	31
Pochwalony!	33
Nie wypada	35
Post	36
Duch czasu	38
1914 — 1918	40
Kazanie	42
Jest...!	43
W przyszłość	44
...Święty Kościół Powszechny	48

JEDNOŚMY

Modlitwa Pańska	53
U stołu Pańskiego	54
Miara, nie granica	55
Miłosierdzie	58

	Str.
Nienawiść	60
Kropla oliwy	62
Sam na sam	64
W sali wykładowej	66
Komuż to zawdzięczam?	68
Czy tylko czeza forma?	69
Właściwa droga	72
Pytanie	75
Jednośmy	77
Ciało społeczne	79

M O C

Nastroje	83
Zaniedbana sztuka	84
My i dzieci	86
Niem świadkowie	88
To trudno i darmo !	90
„Fabryka Sakramentów”	92
Dzisiaj zaczynajcie	95
Dzieło życia	96
Ofiara	101

ERRATA

- Str. 16 w wierszu 5 zamiast „precz” ma być „przecz”.
- .. 16 — Pomiędzy wierszem 27 a 28 dochodzi następujące zdanie: „Tak się stało, bom się modlił i czytał Twoje księgi i Chleb Twój pożywałem... Nie mi tej pewności nie odbierze”.
- .. 51 wiersz 6 zbędny.
- .. 57 w wierszu 22 zamiast „podniesiem” ma być „podniesienia”.
- .. 65 w wierszu 6 zamiast „we nie” ma być „wezwanie”.
- .. 90 w wierszu 24 zamiast „katolicy” ma być „katolicy”

22. Św. Tomasz z Akwinu. MĘSTWO (II-IIae, q. 123.)
23. Ks. Dr. Leon Plater: KATOLICYZM NORMĄ ŻYCIA.
24. Św. JUDA TADEUSZ, patron w sprawach najtrudniejszych.
25. ZAGADNIENIE AKTUALNE.
26. O MAŁŻEŃSTWIE.
27. Ks. Marian Morawski T. J. BÓG A ZŁO.
28. O. I. M. Bocheński O. P. WIARA.
29. O. I. M. Bocheński O. P. PISMO ŚWIĘTE.
30. O POKOJU.
31. Ks. dr Aleksander Żychliński: METAFIZYKA KOMUNIZMU A MĄDROŚĆ CHRYSZTUSOWA.
- 31 bis. O. J. Woroniecki O. P. RELIGIA I MORALNOŚĆ.
33. KWIATKI ŚW. FRANCISZKA (Wybór).
34. Ks. Biskup J. Gawlina: MONTECASSINO i WARSZAWA dwa listy pasterskie.
35. O. Jacek Woroniecki O. P.: PRZEFŁOŻENSTWO.
36. PSALMY, ks. ęga druga.
37. O. I. M. Bocheński O PATRIOTYZMIE.

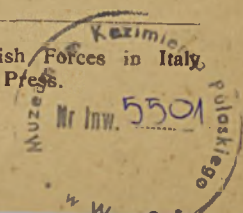
Zeszyty od Nr 1-30 i 31 bis są wyczerpane.

Redaktor odpowiedzialny: o. I. M. Bocheński, O. P.
 Adres redakcji i administracji: Polish Forces C. M. F. 62
 Redakcja nie zwraca rękopisów.

Z pozwoleniem

J. E. Ks. Biskupa Polowego

Printed for the Senior Chaplain to the Polish Forces in Italy,
 by The Polish Military Printing Press.



6818



Cena 50 fir (2/6d)